

BRONISŁAWA DANUTA CIEBIERA

Pamiętnik z Sybiru

RZESZÓW 1990

Oto pamiętnik z Sybiru, pamiętnik mojej Kochanej Mamy, która została wywieziona wraz ze swoimi rodzicami w lutym 1940 roku w głąb Związku Radzieckiego. Miała wtedy ukończone 17 lat i gdyby nie wojna uczęszczałaby do IV klasy gimnazjum.

Zacząła pisać swój pamiętnik jeszcze w podróży, na postojach i noclegach. Zbierając do węzélka dobytek, który kazano spakować w kilka minut w ową pamiętną noc wysiedlenia, zabrała swoje podręczniki do klasy IV i kilka zeszytów. W nich zaczęła spisywać swoje wrażenia i obserwacje, nazwy miast, wydarzenia.

Późniejsze notatki były robione na kawałkach papieru z różnych opakowań, na odwrotach jakichś druków, gdyż o zeszyt w dalekiej Azji było wtedy trudno. Część wspomnień była dopisana już po powrocie do Polski.

W ostatnich latach Mamusia moja przepisała go, poprawiając usterki, trochę uzupełniła, a ja obiecałam Jej przepisać pamiętnik na maszynie i w jakiś sposób opublikować.

Nigdy sobie nie wybaczę, że nie zrobiłam tego wcześniej, bo Mama nie doczekała nawet tego skromnego "pierwszego wydania". Nie doczekała też tych wszystkich przemian, które nastąpiły w naszym kraju w jesieni 1989 roku. Zmarła w lipcu 1989. Już będąc bardzo chora zdążyła się tylko zapisać do Związku Sybiraków osobiście jadąc po to do Krakowa, bo tam powstał jeden z pierwszych oddziałów. Ale nie była już w stanie wziąć udziału w pierwszym zebraniu.

Nie doczekała też czasów, kiedy można już było bez większych przeszkód pojechać do ZSRR. A marzyła o tym całe lata, aby pojechać do swoich ukochanych Monasterzysk, zobaczyć chociaż tante okolice - może dom jeszcze stoi - pójść na groby dziadków, brata.

W kilka dni po Jej śmierci nadeszło zaproszenie od pewnej Rosjanki dla Mamy i dla mnie ...

Chciałabym opublikować ten pamiętnik w jakimś wydawnictwie, ale na razie wysłałam go do Archiwum Wschodniego audycji TV "Dawniej niż wczoraj", a dwa egzemplarze przepisane na maszynie i oprawione będą pożyczac ludzicom, aby w ten sposób przetrwały

P I E Ś Ń W Y G N A Ń C Ó W

Ojczyzno nasza, Polsko ukochana
W trzydziestym dziewiątym cała krwią zalana
Nie dość, że Polskę na pół rozerwali,
Jeszcze Polaków na Sybir wygnali.

Dziesiąty luty, będziemy pamiętać,
Przyszli Moskale, gdyśmy jeszcze spali.
Dzieci i chorych na sanie wkładali,
Na stację wieźli, a zdrowych pędzili.

O straszna chwilo! O straszna godzino!
Człowiek o bólach swoich zapomina,
Ale o tej strasznej nie zapomni chwili,
Gdy nas w ciemny wagon, jak w trumnę wznucili.

O żegnaj Polsko, żegnaj chato miła,
Żegnaj o ziemię, któraś nas karmiła.
Żegnaj słońeczko i gwiazdy złociste,
Bo nas wypędzają ze ziemi ojczystej.

Dni cztery polską ziemią my jechali,
I tylko my ją przez szpary żegnali.
W dzień piąty sowiecka maszyna ryknęła
I nas każdego sztyłem przeszyła.

Mijają doby, tygodnie mijają,
Raz na trzy dni chleba i wody nam dają.
Mijamy Rosję i góry Uralu
I tak jedziemy coraz dalej, dalej.

O, smutna była nasza karawana,
Kipiatku z chlebem dają nam co rana.
Dzieci zmarznięte, chorzy z san śpią,
A na postojach umarli zostają.

O, Polsko nasza, ziemio nasza święta,
Gdzie twoje dzieci, gdzie Twoje Orłeta?
Dzisiaj w sybirske tajgi przyjechali;
Czy Cię jeszcze kiedyś będziemy oglądali?

Słoneczko złote smutno nas witało,
gdy do baraków rano zaglądało,
Dwie trumny stoją sosnami ubrane,
Nad nimi rodziny stoją zapłakane.

Jesteśmy sami, straż nas zostawiła,
Bo cóż tu będzie w tym lesie robiła.
Świat nam zamknęły te szumiące drzewa,
Nawet ptaczyna żadna nie zaśpiewa.

Głód i tęsknota bardzo nas przygniała,
Tyfus i szkorbut dużo ludzi zmiata.
Co dzień to więcej pod świerkami leży
I nikt nie słyszy naszych jęków, łez, paciery.

.....

/ pieśń ułożona na Sybirze,
prawdopodobnie istnieją jeszcze
dalejsze zwrotki /



Autorka pamiętnika
/zdjęcie z pocz. lat 50-tych/

Urodziłam się we wsi Eglubien koło Rzeszowa. W 1927 roku moi rodzice pod presją babki sprzedali ojcowiznę i wyjechali na wschód. Konkretnie - osiedlili się koło miasta Monasterzyska, pow. Buczaacz, gdzie parcelowano wówczas dobra zadłużonego hrabiego Mołodeckiego.

Rodzice kupili 6 ha pola i wylądowali pod gołym niebem, a dokładnie pod namiotem, wraz z całym inwentarzem żywym i nieożywionym, oraz nami, dwojgiem małych dzieci. Była wprawdzie wiosna, ale bardzo kapryśna, z opadami śniegu, burzami i ślą. Mnie z bratem wzięli do domu dobrzy ludzie - państwo Ginalscy, Polacy, którzy tu mieszkali z dziada pradziada.

Rodzice zakasali rękawy i nie licząc się z możliwościami swoich sił i zdrowia, przystąpili do budowy domu i równocześnie do uprawy zaugorzanej ziemi.

Przed zimą stało już coś, co miało dach kryty strzechą, okna, drzwi oraz piec, były też pomieszczenia dla bydła.

Mięły lata. Rodzice wybudowali nowy, porządny dom, murewany, kryty blachą. Dla inwentarza zbudowali porządne stajnie i chlewy oraz stodołę. Zagroda była ogrodzona siatką, a duży, ponad hektarowy sad dawał obfite owoce. Dochód przynosiły również uprawa tytoniu, buraków, zboża, a także hodowla: kilka krów, świń, para koni, kury, gęci, indyki.

Zaczęło się nam dobrze powodzić. Ludzie szanowali moich rodziców, a my, dzieci byliśmy szczęśliwe.

Ale przyszedł tragiczny wrzesień 1929 roku. Ja byłam wtedy w 4 klasie Gimnazjum w Stanisławowie, a brat w 3 klasie w szkole w Buczaczu. Tego roku nie pojechalismy do naszych szkół.

Najpierw były naloty niemieckie i rzesze uciekinierów zdążających do Rumunii. Zagroda wypełniła się tłumami. Mama cały czas gotowała strawę i karmiła głodnych. Później ryk motorów i szczęk śleństwa ruskich wojsk. Miasteczka zajęli Ruscy, na budynkach pojawiły się czerwone flagi i transparenty. Tu zaczyna się nowy etap. Ukraińcy masowo mordują Polaków. Noce pełne trwogi, łuny pożarów, wycie dziczy.

Od września do grudnia nocujemy w zaroślach na wiązkach sto-



"Moje rodzinne strony"

/Na dole z prawej - miasto powiatowe Buczacz.
Na pn.-zach. - miasteczko Monasterzyska/



"Nasz ukochany dom"

my. W tym czasie umiera mój najdroższy brat. Straszna, niewypowiedziana rozpacz. Kir wojny i mordów oraz kir śmierci brata przesłaniają nam świat.

Gdzieś pod koniec grudnia gasną trochę łuny i mniej jest napadów, ale po domach chodzą jakieś komisje składające się z miejscowych Ukraińców i z Ruskich i coś piszą i piszą. A po co - okazało się w lutym 1940 roku.

Od pewnego czasu na bocznicę kolejowej stoi długi zestaw wagonów towarowych, w każdym na środku piecyk, u sufitu lampa stajenna, a po bokach przyca z desek. Ludzie snują różne domysły - po co, dla kogo te wagony?

Wkrótce przyszła odpowiedź.

10. luty 1940, data, której nigdy nie zapomnę ...

.....

13.II.1940

W sobotę 10.II. raniutko znaleźliśmy się na stacji w Monasterzyskach, zamknięci na głucho w wagonie towarowym. Światło przedostaje się tylko przez szpary. Oprócz nas na tobołkach siedzi stłoczonych jeszcze siedem rodzin.

Co działo się przedtem - trudno opisać. O godz. 4-tej nad ranem zbudziło nas gwałtowne łomotanie do drzwi. Gdy ojciec otworzył, wkroczył Ukraińiec Baczyński i kilku ruskich żołnierzy. Ojcu kazali położyć się na podłodze i przeprowadzili rewizję. Następnie odczyteli akt, że zostajemy przesiedleni w inne, bezpieczne okolice. Wolno nam zabrać odzież, pościel i żywność. Rodzice smartwili z rozpaczy. Byli tak zaskoczani, że nie wiedzieli, co robić. To było nie do wiary, że naraz mamy wszystko opłacać, cały dobytek, ukochany dom i wszystko zdobyte ciężką pracą i gdzieś iść, jechać w nieznaną?

Zdawało się, że świat się kończy i jutro nic nam już nie będzie trzeba.

Lepsza odzież i cenniejsze rzeczy były wcześniej wywiezione na przechowanie do pewnego adwokata, znajomego Ukraińca w miasteczku

ku, tak że teraz nie można ich było zabrać. Ojciec leżał na podłodze pod lufą karabinu, matka strasznie płakała, ja coś chciałam brać, lecz za co chwyciłam, Ukraińiec kładł rękę i nie pozwalał. W prześcieradko związałam trochę pościeli, kilka garnków, książek i musieliśmy opuścić nasz piękny, cichy dom, cały majątek odziedziczony po dziadkach i pomnożony ciężką pracą rodziców. Zostały nasze krówki, konie, nasz Tikuś i cały nasz świat...

Tobołek wylądował na saniach stojących przed domem, a my szliśmy jak za pogrzebem. Przed domami stali sąsiedni Ukraińcy i ze słyni uśmiechami patrzyli na naszą rozpacz. Znajomi, z którymi kiedy byliśmy zyci oraz pozostający Polacy usiłowali do nas podejść, lecz strażnicy zagradzali drogę karabinami.

Potraktowano nas, tzn. kolonistów i osadników jak osadników wojakowych, finansowanych przez rząd, a tymczasem wszyscy, którzy tu się w poprzednich latach osiedlali, zdobyli wszystko własną pracą, nikt z nich nie miał nic wspólnego z rządem.

Zaprowadzili nas na stację. Zawodziliśmy, płakali i modlili się. Żeby to uciec, szybko wpełznięto nas do wagonów i zatrzaśnięto drzwi. A wagonów było dużo, może 80, może 100.

Siedząc w ciemnościach z trwogą oczekiwaliśmy, w jakim kierunku ruszy pociąg. Wieczorem transport ruszył na wachód.

Rozległ się jeden jak rozpacz, skargi, żłorzeczenia, modlitwy i wreszcie śpiew - "Pod Twoją obronę ..."

Teraz jedziemy już trzeci dzień. W Kopyczyncach przekadowano nas do ruskich wagonów. Gdy ryknęła ta ich maszyna, serce moje przeszło taki straszny ból i strach przed nieznany.

19.II.

Nocą minęliśmy kilka większych miast, ale nie widziałam ich, bo spałam zmęczona nadziarem wrzedeł. Rano minęliśmy jakąś dużą rzekę, przypuszczalnie Don i stanęliśmy na jakiejś ogromnej stacji. Nazwy Lisków i Swoboda nie mi nie mówią. Na sąsiednich torach też stoją transporty z Polakami. Do południa w mieście Halaławaj dostaliśmy chleb i supę.

20.II.

Minęliśmy Sienę.
Mama ciężko zachorowała na cholera. Choruje również Lohodowa. Rodziny znajdujące się w wagonie rozlokowały się na przyczep. Nam przypadło miejsce na górnej półce. Wprawdzie nikt nam nie

łazi po pościeli, ale jest daleko od okna i mamie ciężko echo-
dzić za potrzebą.

Przy oknie zgromadziły się dzieci, których jest ośmioro. Ja drą-
żę sobie otwór w desce, aby coś zobaczyć.

22.II.

Mamie jest trochę lepiej. Stoimy w Kujbyszewie. Tu rozgałę-
wiają się linie kolejowe. Jedna wiedzie do Taszkientu, druga na
Syberię.

W wagonie panuje brud nie do opisania. W tej ciszności 35 osób
już 12 dni załatwia wszystkie swoje potrzeby życiowe. Okropnie
rozmnążyły się wszy. Kiecyk dymi, z kąta z dziurą w podłodze
rozchodzi się straszny fetor. Woda z wiader wychlapuje się na
podłogę i miesza z pyłem i węglem tworząc czarną masę, którą
niepokojne dzieci roznoszą na prycze i pościel.

Z byle powodu wybuchają kłótnie, zajadłe i długie. Z ochotą wy-
rywam się z wagonu, gdy trzeba iść po supę, wodę, chleb czy wę-
giel. Jest to okazje aby zobaczyć świat, zaczerpnąć powietrza
i rozprostować nogi.

23.II.

W nocy minęliśmy miasto Abdukyno, nad rapem Ozyngis-Ckum, a
koło południa stanęliśmy w Ufie. Tutaj znowu spotkaliśmy dużo
transportów z Polakami z Lidy, Kobiomyji, Bzeńca, Chodorowa. /
Można z tego wnioskować, że jest to masowe przesiedlenie, obejm-
ujące wiele tysięcy ludzi.

Obiad był na dwa dania: kasza na rzadko - zupa i kasza na gęsto.

24.II.

Minęliśmy Klotoustkę i wieczorem zatrzymaliśmy się w Czela-
bińsku. Znowu bożnicie kolejowe i transporty z Polakami.

U nas w wagonie chore są Lobotowa i Staszka Ziemska.

25.II.

Już trzecią niedzielę jesteśmy w wagonie. Minęliśmy Ural.
Piękne góry. Zalesione, zasypane śniegiem, urwiste i takie wyso-
kie! Ja nigdy nie widziałam tak wysokich gór i jestem nimi oczu-
rowana.

Jesteśmy już więc w Azji.

Przez pociąg idzie przez równiny pokryte śniegiem i młoczącym,

ładnym lasem. Nie mogę długo patrzeć na świat przez moją szczer-
linę, bo bardzo wieje i jest zimno.

W wagonie istnie piekło: smród, brud, ziano, wazy i kłótnie o
wszystko. O jakieś zadawnione sprawy z Monasterzysk, o okruch
chleba, o misjace przy oknie lub przy płacu, o trochę wody -
o wszystko.

W nocy minęliśmy Istropawówsk, gdzie spotkaliśmy znówu liczne
transporty z Łolski.

27.II.

Io południu stanęliśmy w Barabinsku, gdzie otrzymaliśmy zwyk-
łe zapatrzenie: wodę, węgiel, zupę, chleb. Wstrętne są te zupy,
wodniate i smierdzące, chleb też niesmaczny, takie ciemne, cięż-
kie asgiaki.

28. II.

Rano przebudziłam się w Nowosybirsku. Mama znówu ciężko chora.
Wije się w okropnych boleściach. To z tego jedzenia. Zupy są
maszczone jakimś smierdzącym, czerwonym olejem.
Była doktorka, dała mamie jakieś krople.

29.II.

Jeszcze jesteśmy w Nowosybirsku. Mama nadal chora. Tato
schudł, siedzi milczący i smutny.
Byliśmy w łaźni. Io 20 dniach podróży pozwolono nam się umyć.
W wagonie nie ma przecież warunków ani na tyle wody. Żeby było
dziwniej, gdy kąpały się kobiety - pilnowali mężczyźni, mężczyźni
zaś pilnowali kobiety.

Pierwszy raz szliśmy przez miasto. Dużo, z szerokimi ulicami,
tramwajami, dużym ruchem. Kobiety i mężczyźni w kufajkach, wato-
wanych spodniach i walonkach. Zabudowa niska, sklepów mało.

Kąpiel nie poprawiła humorów. Zrazu po powrocie z łaźni sa-
wcała piekielna kłótnia. Mama znówu skręca się z bólu, dzieci
płaczą, ciemno, ponuro. Gdy wreszcie w nocy umilkła kłótnia, przez
gwar stacji przebiega się jakaś smutna melodia grana na skrzypcach.

1.III.

Dopiero dziś późnym wieczorem wyjechaliśmy z Nowosybirska.
Przed południem byłam sama w mieście. Uprosiłam strażnika, aby mi
pozwoił pójść po czystą wodę dla mamy. Koło jakiejś studni uli-
cznej obstarpił mnie Rosjanin i Rosjanka. Nie bardzo mogłam się z
nimi rozmówić. Mimo, że znam język ukraiński, niewiele rozumia-
łam, a oni mnie też mało. Oglądali moją odzież i dziwili się,
że jestem ładnie ubrana, chociaż jestem córką rolnika. Moje ubra-
nie po takiej podróży, wynięte, brudne - wydawało im się ładne!



"Mama"

"Tato"

/zdjęcia z lat 50-tych/



"Ja"

/zdjęcie z III kl. gimnazjum/

2.III.

W nocy minęliśmy Aczyńsk, a teraz, tj. w południe jesteśmy w Krasnojarsku. Strażnicy mówią, że jutro będziemy na miejscu. Strasznie się boimy, co będzie dalej.

3.III.

Jest niedziela. Już nie jesteśmy w wagonie, ale nie jesteśmy też na miejscu. Do celu podróży prawdopodobnie jeszcze daleko. Jesteśmy w Kańsku. To jest końcowa stacja kolejowa. Otworzyły się wrota wagonów, podjechały ciężarówki, na które nas upchano razem z tobołkami i przewieziono do jakiegoś budynku, który wygląda na dom kultury. Jesteśmy w dużej sali ze sceną, na ścianach jakieś transparenty. Wepchnęli tu wszystkich ludzi z całego transportu, a może z dwu. Wszyscy stoimy, bo jest tak ciasno, że nie ma miejsca, żeby usiąść nawet na tej brudnej podłodze. Jest straszny zaduch aż gryzący w oczy, po prostu nie ma czym oddychać. Nasze tobołki leżą na podwórzu, tu by się nie zmieściły. Na dworze jest bardzo duży mróz.

4.III.

Przez całą noc męczyliśmy się w tej sali padając ze zmęczenia i dusząc się prawie. Wychodziliśmy co chwila na dwór zaczerpnąć powietrza, ale było tak zimno, że dłużej niż parę minut nie dało się wytrzymać. Od rana przed budynek zajeżdżają ciężarówki. Wyczytane osoby wsiadają i gdzieś odjeżdżają. Nas jeszcze nie wyczytano. Na sali trochę się przerzedziło. Powietrze jest jeszcze ciężkie, ale można już wnieść tobołki, przysiąść na nich i podrzemać.

6.III.

Jeszcze jedną noc spędziliśmy w Kańsku. Większa część ludzi została zabrana. Rozluźniło się na tyle, że można było położyć się na podłodze, brudnej, zaplutej, ale co zrobić, zmęczenie jest silniejsze od wstrętu.

Wczoraj przed południem wyczytano naszą rodzinę. Zakładowaliśmy się wraz z innymi na ciężarówkę, kazano nam się owinać pierzynami, bo bez tego chyba byśmy zmarzli na tym strasznym mrozie - i w drogę, w nieznaną, zaśnieżoną pustkowię.

Przed wieczorem zatrzymaliśmy się w jakiejś osadzie. Potem dowiedziałam się, że nazywa się Tasiejewo. Nocowaliśmy w jakimś budynku przypominającym biuro, z którego usunięto biurka. Spaliśmy na podłodze, ale było czysto i ciepło, dostaliśmy gorącą zupę i smaczny chleb.

7.III.

Petropawłowsk. Małe osiedle, niskie drewniane domy kryte deskami, wysoki śnieg, mróz i znowu jakiś klub z dużą salą. Zgromadzono tu dość dużo ludzi. Oczekujemy na rozdział.

X.XXX.

8.III.

Rodziny z małymi dziećmi już odjechały. Rodziny bezdzietne pojedą gdzie indziej. Znajdujemy się w budynku, który nazywa się "zimowla" - rodzaj domu zajezdnego. Dość czysto, tutejsi ludzie grzeczni, dostaliśmy zupę i chleb i spać będziemy na pryczach.

Mama jest bardzo chora i słaba.

Przyszedł tu do nas Polak, który mieszka tu od lat. Po polsku mówi bardzo słabo, lecz rozumie wszystko. Ze smutkiem kiwa głową, że znowu Polacy jadą na Sybir.

9.III.

Z Petropawłowska wyjechaliśmy rano, tym razem seniami. Droga dojazdu już się skończyła. Uformowano rodzaj karawany - długi sznur sanek jednokonnych, takich typowych ruskich zaprzęgów. Na sankach siedziały podwie, trzy osoby. Kazali owinąć się pierzynami, bo jest bardzo zimno, a my nie mamy odpowiedniej odzieży ani oburcia. Przywiązano nas sznurami do sanek, żebyśmy nie pospadali i w drogę. Jeden furman obsługiwał 7-8 zaprzęgów. Koniki małe, kudłate i bardzo mądre. Żaden nie zboczył ani na krok z ubitej dróżki, bo wiedział, że utonie w śniegu. Droga wiodła przez dziewiczy zaśnieżony las i korytami rzek. Taka karawana sunęła cały dzień. Nogi nam okropnie pocięły, twarze mieliśmy zeszlagane wiatrem i śniegiem pryskającym spod kołskich kopyt. Wydawało się, że już zamrzliśmy. Pod wieczór dotarliśmy na małe osiedle, które nazywa się Bogorodzkie. Tutaj koniec naszej podróży i chyba koniec świata. Całe osiedle są to trzy baraki a dookoła jest las, las, bez końca las i śnieg sięgający powyżej pasa.

10.III.

Minał miesiąc jak wypędzono nas z naszego domu. Miesiąc trwała nasza podróż. Mama bardzo źle się czuje.

Zakwaterowano nas w jakiejś dużej izbie, na środku stoi piec, a spać mamy pokotem na podłodze. Razem z nami jest tu 15 rodzin.

Mama uprosiła komendanta, aby, ze względu na to, że jest chora umieszczono nas w mniejszej izbie z łózkami. Tzn. łózka są trzy a, ulokowano tu jeszcze dwie rodziny, tak że jest nas jedenaścioro: Iskrzak - 4 osoby, Celny - 4 osoby, no i my troje. Kobiety śpią na łózkach, mężczyźni na podłodze.

11.III.

Mama leży chora a my z ojcem rozwiązujemy tobołki i przygotowujemy zachy do prania.

Obok naszej izby jest mała kajutka, gdzie ma gabinet lekarz. Nazywa się Michalski i jest Polakiem. Jest chyba synem zesłańca z 1863 roku.

Mówi poprawnie po polsku.

Przed wieczorem przywieziono jeszcze kilka rodzin. Pani Kabatowej Stasi
XXXXXX



"Nesza karawane. III. 1940"

zmarło dziecko po drodze. Niemowlę. Prawdopodobnie udusiło się, albo zamarzło. Przecież my, dorośli ledwieśmy przetrzymali.

Tak strasznie rozpacza ta pani.

Kilka godzin później jakiś mężczyzna chciał nas wyrzucić do tej dużej sali, a wprowadzić tu swoją rodzinę. Ze dwie godziny trwała awantura, ale w końcu komendant kazał pozostać nam, bo mama jest naprawdę bardzo chora.

Tutaj też przecież nie ma luksusów. Tyle, że mama leży na łóżku. Jest przede wszystkim strasznie ciasno. 11 dorosłych osób na powierzchni 16 m.kw. śpi, gotuje, je. Właściwie to nie mamy co gotować, zapasy z domu już się nam dawno skończyły, pieniędzy nie mamy, a chociażbyśmy mieli, to i tak nie ma co kupić. Jest tu jeden sklep - "Zawoczka", ale nic w nim nie ma.

12.III.

Komendant kazał mi posprzątać gabinet lekarski. Zmyłam podłogę, porycierałam kurze, wyczyściłam jakieś narzędzia.

Tato odrzuca śnieg w osiedlu.

15.III.

Tato przeziębik się i strasznie kaszle. Mama znowu czuje się gorzej. Do tej pory nie dostaliśmy tu żadnej żywności. Mamy tylko garść kaszy i trochę pokruszonego suchego chleba.

Dziś był felczer i przyjmował chorych. Kazał mi coś pomagać a potem posprzątać gabinet.

16.III.

Czas jest tu podzielony na pięciodniówki robocze i jeden, szósty dzień jest wolny, nazywa się "wychodny".

Wczoraj właśnie był taki "wychodny" i na nasze osiedle przyjechali goście - Polacy mieszkający tutaj od dawna.

Przyjechał doktor Michalski, którego już wcześniej poznałam, i taki młody doktor Iwanowski. Doktor Michalski to starszy mężczyzna, mocno przygarbiony i bardzo sympatyczny. Ten drugi - Iwanowski - też mówi po polsku, ale słabo. Jest komсомоlcem i ma głowę nabitą komunistycznymi ideami, a przyjechał, aby zobaczyć, czy są żadne dziewczęta. Było jeszcze trzech mężczyzn, też Polacy z pochodzenia, ale jedynie rozumieli polską mowę, mówić nie umieli.

Właśnie w naszej izbie rozsiadło się całe towarzystwo i długo rozmawiali. Bardzo ich interesowało wszystko, co w Polsce się działo. Szczegółowo wypytywali o stosunki społeczne, o warunki życia itp. Doktor Michalski zobaczył moje podręczniki szkolne z IV gimnazjalnej i pożyczył sobie wszystkie, nawet algebrę i gramatykę.

Mówił, że gdy dowiedział się że Polacy mają przyjechać, cieszył się,

że usłyszy polską, polską nową i równocześnie serce mu pękało z żalu, że Polacy znowu zasiedlają Syberię.

Później poszedł do drugiej izby i rozmawiał niemal indywidualnie z każdym wypytując o zdrowie. Dwie osoby były tam ciężko chore, więc odprewił je saniami do szpitala do Južno-Jenisejska, gdzie pracuje.

Komendant NKWD obiecał nam jutro rano dostawę żywności i zaliczkę pieniężną.

17.III.

Dostaliśmy kaszę, mąkę, skoningę, chleb, cukier i po 20 rubli. Przywieziono kamerę dezynfekcyjną do odzieży. Wraz z młodym lekarzem przeprowadzamy dezynfekcję. Trochę jest kłopotu, bo ludzie boją się oddawać odzież, że się spali. Musimy wprost zmuszać każdego, aby zaniósł swoją odzież do kamery i powiesił na wieszakach. Na pierwszy ogień ja zaniosiłam nasze rzeczy, aby udowodnić, że się nie spali. Naturalnie nie spaliły się, ale mało to pomogło. Dalej trzeba było przekonywać. Ta dezynfekcja jest strasznie potrzebna, bo wszyscy się rozanożyli tak, że już trudno wytrzymać. Siedzę więc koło kamery, nadzoruję temperaturę i czas dezynfekcji i spoglądam na to nasze "osiedle" - 3 baraki zagubione w tajdze. Chociaż jest już połowa marca, wiosny ani śladu - dookoła leży głęboki śnieg i mróz porządnie szczypie.

22.III.

Niespodziewanie zajęchały dziś sanki i zabrały kilka rodzin wyznaczonych przez komendanta. Prawdopodobnie wszystkich nas stąd przesiedlą. Według słów młodego doktorka, osiedle Bogorodzkie leży na kryn bagnach i na klimat malaryczny. Warunki pracy są bardzo ciężkie. Tu wydobywa się złoto w płytkich kopalniach zalewanych wodą. Kopalnia, a raczej pokład ilu, w którym znajduje się złoto nie jest zupełnie przystosowana do eksploatacji. Kubelkiem wyciąga się ją na powierzchnię i tu płucze się ręcznie. Ludzie pracujący na dole stoją cały dzień w wodzie i ciemnościach.

24.III.

Dziś jest Niedziela Wielkanocna. "Wesoły nam dziś dzień nastał"... O godzinie 5-tej rano obudził nas głośny płacz w wielkiej izbie. Kasia Celna, młoda kobieta, zachorowała na jakąś tajemniczą chorobę. Jest nieprzytomna i sina, wymiotuje i zrywa się. Już wcześniej dwie osoby miały takie objawy. Nadzorujący nas przedstawiciel NKWD wysłał wiadomość do lekarza. Kasia cały dzień się męczyła, wieczorem uspokoiła się, ale była sinoblada, oddychała z trudem i zdawało się, że umiera. Późno wieczór przyjechał lekarz i zabrał ją do szpitala. Bardzo płakali jej starzy rodzice. Zresztą wszystkie kobiety pociągały

nosami. Gdy płacz ucichł, ktoś zaintonował pieśń wielkanocną, ale ucichła wkrótce, bo kzy dławili w gardłach.

25.III.

Poniedziałek Wielkanocny. Dzień jest dziś piękny, słoneczny, ale bardzo mroźny. Do pracy się nie idzie, bo dziś mamy wyjechać stąd na inne osiedle.

Okazało się, że jest tu kilka młodych, wesołych dziewcząt. Poznałam je z imienia i nazwiska: Tereska Burgier, Hanka Burgier, Hanika Kocandówna, dwie Kusnierżówny, Julka Szpak /trochę starsza/, Cieciewówny. Zgodnie z tradycją, od rana latają z garnuszkami i oblewają, kogo się da. Oblewają wodą komendanta, felczera i piekarza. Komendant nic nie rozumiał i był wściekły.

Niespodziewanie około południa zajęchały sennie i kilku rodzinom kazali się spakować. Między innymi nam. Stojąc przed barakiem śpiewaliśmy na pożegnanie: "Taki los wypadł nam, że dziś tu, a jutro tam! Droga była bardzo zła. Konie zapadały się miejscami po brzuchy, bo stołce już miejscami podtopiło wcześniej ubity śnieg.

Nocowaliśmy na osiedlu Udierajskim. Ludność tutejsza zbiegła się, aby nas oglądać. Między nimi był Polak - nauczyciel, który długo siedział u nas i rozmawialiśmy na różne tematy. Jego dziadek był zesłańcem.

26.III.

Przed południem dotarliśmy na miejsce. Jest to duże osiedle i nazywa się Kirowski Fryisk, lub Fryisk in, Kirowa.

Przejeżdżaliśmy około elektrowni i około drągi. Jest tu też szkoła 10-letka i szkoła mechaniczna, świetlica, stołówka, sklep, szpital.

Na nasze spotkanie wybiegli z baraków Polacy. Okazało się, że są tu ci, z którymi rozstaliśmy się w Bogarodzkin.

27.III.

Umieszczono nas w drewnianych barakach po 3 rodziny w jednej, niewielkiej izbie bez żadnych sprzętów. Jest tylko piec. W naszej izbie jest 11 osób: my - 3 osoby, Celny z żoną, córką i synem /12 i 14 lat/ i Jaroszwie z dwoma chłopcami /10 i 12 lat/. Dowiedziałam się, że na tym osiedlu są i inni przesiedleńcy: Zabajkałcy, Finowie i Niemcy z Półwola. Wszyscy jesteśmy pod nadzorem NKWD. Komendant jest wielki, gruby i nieprzyjemny w obejściu. Wygląda na Ukraińca.

So tu też ludzie "wolni" - Rosjanie. Mieszkają w swoich domach po drugiej stronie rzeki.

29.III.

Wszyscy zdolni do pracy muszą pracować. Dziś pierwszy raz ja byłam w pracy. Wraz z innymi dziewczętami odrzucałyśmy na rzece lód od drągi. Miałam okazję przyjrzeć się jej z bliska.

Jest to pływająca koparka wyplukująca złoto z piasku i żwiru. Czerpakami "rwie porode", zanosi pod strumień wody na sита, na których zostaje złoto, a resztę przenośnik taśmowy zsypuje w hałdy. Za drogą pozostają martwa hałdy i okropnie wyglądające wyrobiska. Rzeka, na której pracujemy nazywa się Udieraj. Aby droga nie obmarzała, na brzegu i na pomostach stoją ludzie i wykławiają siatkami na dragach lód i wyrzucają go na brzeg. Z początku robota nie wydaje się ciężka, ale po kilku godzinach ręce omdlewszą.

31.III.

Jest niedziela, ale nie dla nas. My musimy iść do pracy. Tato dostał 20 rubli zaliczki. Mama znów zachorowała. Leży na podłodze i jęczy. Ma gorączkę i zaczerwienione stawy kolanowe.

3.IV.

Doktor stwierdził u mamy zapalenie stawów i skierował do szpitala. Na szczęście szpital jest na miejscu i przychodnia lekarska też. Lekarz żyć - zły jak sam diabeł.

Właśnie wróciłam z pracy, gotuję zupę i piszę ten pamiętnik.

Po drodze byłam u mamy. Dalej źle się czuje.

Praca przy lodzie skończona. Jutro mamy iść na "rozkomandirowkę". Nie wiadomo do jakiej pracy teraz poślą.

6.IV.

Dzisiaj jest dzień "wychodny" - wolny od pracy, a według naszego kalendarza - sobota.

Pracę teraz nam cięższą. Przez dwa dni kopałam fundamenty pod baraki.

Ziemia jest całkiem zamarznęta, tak że trzeba ją rąbać kilofem.

Na rękach mam mrozoły podbiegnięte krwią.

Ostatnie dwa dni obdzierałam z kory drzewo na budowę baraków.

Za pięć dni pracy dostałam 12 rubli. Oboje z ojcem dostajemy tak marne grosze, że nie ma za co wykupić kartkowych przydziałów.

Dobrze, że mama jest już w domu, przynajmniej ó jakaś zupę ugotuje i odzież połata. Wszystko się strasznie niszczy, szczególnie rękawice.

16.IV.

Trzeci dzień pracuję przy sianie. Roztrzepujemy prasowane beły.

Od prochu i stęchlizny aż piecze w oskrzelach.

Na osiedlu wśród naszych huczy od plotek, że mamy wracać do Polski.

Niektórzy są tak święcie o tym przekonani, że pakują rzeczy.

Przyczyną tych plotek jest jakiś telegram, który otrzymały od swoich krewnych dwie panie - bratowe, Burda i Lutkiewicz.

20.IV.

Dużo jest do pisania, ale może nie warto pisać? Bez przerwy zmar-



"Obiad w lesie"

wienia, że człowieka opuszcza chęć do życia.

Mamę stale dusi świszczący suchy kaszel, a tato to tak kaszle, że aż barak się trzęsie.

Ja pracuję teraz w lesie przy wyrębie drzewa razem z Hanusią Kocandówną. Do pracy idzie się 3 km. Las, który wycinamy jest bardzo rzadki. Rosną tu przeważnie ogromne brzozy i modrzewie. Śnieg bardzo wysoki, powyżej kolan, bardzo utrudnia pracę. Objaśniono nas, że norma wynosi $3m^3$ na jedną dziennie. Za jeden m^3 płacą 2,20 rubla. Robota jest ciężka. Trzeba najpierw łopatką odgarnąć śnieg od pnia, żeby odziomek był niski, ściąć drzewo piłą, poobcinać gałęzie, złożyć je na kupę, pień okorować, pociąć pień na 1 metrowe polana, które trzeba pokupać na płaszki i złożyć w stos wysoki na 1,2m.

Na miejsce przyprowadził nas dziesiętnik Bruchanow, znany z brutalności wobec Polaków, gdyż \times w 1920r stracił rękę pod Warszawą. Gdy nam wytłumaczył, na czym będzie polegać nasza praca zaczęliśmy płakać. Ja mam 17 lat, Hania 18, są i młodsze dziewczynki, Wisia Markówna ma 16. Tereska Burgier zaczęła prosić o zmianę pracy, że nie podolamy, że to nie jest praca dla kobiet. Wtedy Bruchanow zaczął krzyczeć, przeklinać, wygrażać, że zgłosi komendantowi, że nas wywozą tam gdzie słońce już nie świeci.

24.IV.

Była wypłata. Ja dostałam 15 rubli a tato tylko 8. A przecież to bardzo uczciwy i pracowity człowiek. Jest silny i mógłby zarobić więcej, ale dziesiętnik źle obliczył jego pracę.

Strasznie biedujemy, nie wystarczy nam na wykupienie przydziałów. Mama już nawet pożyczyla od kogoś 10 rubli.

Nadal pracujemy w lesie. Las jest teraz gęsty, sosnowy. Drzewa piękne, grube, wysokie. Tak bardzo się boimy zrywania. Ciągłe nam się zdaje, że nas przywali.

Jest cieplej i śnieg już zaczyna tajać.

26.IV.

Robota przy wyrębie skończyła się wcześniej, niżśmy się spodziewały. Wszystkie kobiety zabrali do palenia gałęzi w lesie. Praca jest lekka, lecz droga do pracy straszna. Przebywamy codziennie ok. 7 km. Obecnie są roztopy i droga przedstawia się jak jedna wielka rzeka wody wymieszanej ze śniegiem. Miejscami ta braja sięga do kolan.

A buty, śmiechu warte, jakie my mamy buty; cholewa przywiązana pod kolanem, żeby nie opadała i podeszwa z cienkiej, miękkiej skóry. Przemakają jak szmata, że można je wyzimać.

Na wyrębach, na słonecznych stokach, gdzie palimy teraz gałęzie, śnieg już stajał, wody spłynęły i jest sucho, a do słońca można się



"Tereaka"

nawet zagrzać. Spod śniegu wytajały przeszłoroczne brusznice, które są bardzo smaczne. Las w tej stronie jest śliczny. Ma nadzwyczajny urok. Na szczęście nie muszę zrzynać i bać się tych pięknych wiekowych modrzewi i sosen, więc się nimi zachwyam. Nasze lasy polskie to ubogie zagajniki wobec tych nieprzebranych lasów.

Zujemy żywicę modrzewiową, różową, pachnącą i zbieramy rozrzucone na wyrębach gałęzie i palimy. W wiosennym słońcu i przy ognisku grzejemy się i spożywamy nasze drugie śniadanie: woda z sokiem z jagód i kromka czarnego chleba. Szkoda, że tego chleba jest tak mało. Wprawdzie norma dla pracujących wynosi 80 dkg, ale ten chleb jest ciężki i niewyrośnięty i jest to taka mała kostka, którą by się naraz zjadło.

Grubszej zwierzyny tu w lesie nie spotykamy, tylko zające - bielaki i wiewiórki - letiuchy, zimą zmieniające futerko na białe. Dużo hałasu robią dzikie kury i głuszce. Nad rzeczką gnieźdzą się dzikie kaczkę. Gdybym mogła, siedziałabym i obserwowała tę piękną pierwotną przyrodę. Aż wracać się nie chce do osiedla, bo niżej leży śnieg, rzadki i mokry i znowu trzeba brnąć do pół łydki w lodowato zimnej bryji.

28.IV.

Jak na moje obecne warunki, wydrzyło mi się nieszczęście. Dałam do naprawy moje "buty". Ponieważ były mokre, szewc wsadził je do pieca, żeby podsuszyć. Piec był za gorący i buty spaliły się. Ani szewc mi nie może zwrócić innych butów, ani ja nie mam ich skąd wziąć, bo po pierwsze nie mam pieniędzy, po drugie, nie ma żadnego obuwia w sklepie.

Rano poszłam na dyspozytornię w moich półbucikach z Polski. Dziesiątnik i komendant wysmiali mnie i powiedzieli, że ich nie obchodzi, w czym pójdę do pracy. Wieczorem poszłam jeszcze do dyrektora przedsiębiorstwa i ten po długich targach kazał mi wydać nowe cichobiegi.

2.V.

Nadszedł maj. Mrozy wprawdzie zelżały, ale w dolinach leży śnieg i jest bardzo zimno. Dmie mroźny wiatr, tzw. "zły".

Dziś jest drugi dzień wolny od pracy z okazji "prazdnika".

W sklepie sprzedawano wódkę, więc połowa Rosjan chodzi pijana.

Nasi są smutni i oswiali. Sądziłiśmy, że z okazji "Świąt" dostaniemy więcej pieniędzy, ale gdzie tam. Dostaliśmy tylko po pół kilo cukierków, coś w rodzaju landrynek.

Jutro znowu do pracy po tej drodze, co wygląda jak rzeka.

7.V.

Jutro do pracy mamy wyjść o godz. 10-tej wieczorem i będziemy palić gałęzie całą noc. Zdaje się, że chcą już skończyć wypalanie i przerzucić nas do innej pracy. Kończę pisanie, bo słyszę, że dziewczęta zebrały się gdzieś na najówkę i śpiewają pieśni do Matki Boskiej.

9.V.

Wróciłam z pracy o godzinie 4-tej nad ranem, brudna i zmęczona. Ale dziś mam dzień wolny. Palenie ~~gałęzi~~^{gałęzi} w zachodniej części lasu zakończone. Część dziewcząt wysłano do palenia na osiedle "centralne". Mnie jakoś udało się pozostać. Teraz będzie trochę smutno, bo wyjechały najweselsze dziewczęta. Po raz pierwszy za tydzień dostałam 34 ruble.

18.V.

Nadal palę gałęzie. Palimy teraz w lesie leżącym na południe od naszego osiedla. Robota idzie nam bardzo źle. Od kilku dni pada deszcz ze śniegiem. Gałęzie są z drzew liściastych i nie chcą się za nic palić. Teraz to niewiele zarobię. Nasza brygada składa się ze starszych kobiet, które stale narzekają, płaczą, złoszczą się i kłóca o byle co. Wyglądamy jak zmokłe kury, uszargane w błocie, zmarznięte.

19.V.

Kierownictwo przydzieliło nam po 10 kg ziemniaków i zachęca nas aby wykarczować sobie działkę i posadzić. Po powrocie z pracy karczujemy więc kawałek ziemi. Z lasu przywlekliśmy żerdzie na ogrodzenie. Gleba jest ładna, pulchna, wygląda, że żyzna. Mama jest teraz zdrowsza i dorabia szyciem. Zaznajomika się z sympatycznymi ludźmi, z rodziną Takmakowych zza Wołgi. Cieszymy się, że kończy się budowa baraków, może dostaniemy jakiś własny kąt. Dotychczasowe wspólne mieszkanie, trzy rodziny, tj. 11 osób w jednym pokoju jest bardzo uciążliwe. Barak jest stary, zapluskwiony, nie sposób tych dokuczliwych owadów wytępić. Także wszy są stale, mimo że mama stara się trzymać bieliznę w czystości. Nie bardzo się to udaje, bo część pościeli leży na podłodze, dzieci biegają, noszą błoto, jest bałagan i brud. Są w pokoju 3 łóżka, po jednym na rodzinę. Jest ciasno, niewygodnie, ciągły ruch. Celna ciągle gada, na dodatek głupio, bez przerwy powtarza to samo.

20.V.

Ojciec pracuje jako cieśla przy budowie baraków. Spotkała go dziś wielka przykrość. Wczwał go do siebie konendant i zaczął upominać, że zachowuje się nieodpowiednio, że buntuje innych, że kryty-



"Franunia Celna"

kuje warunki, w jakich żyjemy, że on, komendant, wie od Zymańczuka, /jeden z brygadzystów, Ukrainiec/, że my byliśmy "pomieszcznikami" /obszarnik/ i jeśli jeszcze raz usłyszy podobne doniesienia, to pojedziemy tam, gdzie słońce nie świeci. Ojciec zaczął się śmiać z tego, że nazwano go obszarnikiem i zaczął wyjaśniać, że był zwykłym wieśniakiem, a lepsze od innych wyniki w gospodarstwie zdobywał własną nauką i pracą. Ojciec domyśla się, że podły Zymańczuk doniósł na niego z zazdrości, z tego powodu, że ojciec wyróżnia się swoimi umiejętnościami wśród zatrudnionych tutaj ludzi, tak że wszyscy i z kierownictwa i z robotników zwracają się z różnymi zleceniami i problemami przy budowie do niego, a nie do Zymańczuka. Zymańczuk uważa, że on, jako Ukrainiec powinien być najważniejszy w grupie i pieni się, gdy ktoś się zwraca do ojca. Ojciec jest cieślą i doskonale zna się na swojej robocie. Jest pracowity, dokładny, skromny i nałomówny, gdzież on by tam buntował, a narzekać to wszyscy narzekają. Boimy się teraz, że go przeniosą do lasu, do wyrębu.

Na dodatek ludzie w baraku dogadują nam, że my pewnie chcemy tu pozostać na stałe, bo przygotowujemy grządkę pod kartofle. Nie mieści się w głowie taka głupota i podłość. Czy grządka nawet najbardziejnych ziemniaków powstrzymałaby nas od wyjazdu do kraju? Czy oni myślą, że Ruscy przywieźli nas tutaj na wycieczkę i po paru dniach odwiozą nas z powrotem? Na pewno spędzimy tu przynajmniej z rok, a wtedy ziemniaki się przydadzą.

24.V.

Dziś jest święto Bożego Ciała. Od rana leje jak z cebra. Do pracy musiałyśmy pójść mimo ulewy i mimo, że nie mamy nic na deszcz, bo boimy się "proguzu" a za tym kary i sądu. Robię teraz na poligonie z Franją Biernatówną. Poligonem nazywają obszary położone nad rzeką Udieriejem, które oczyszczą się z wszelkich zarośli, aby przygotować pole pracy dla drągi. Wycinamy wszystkie drzewa grube i cienkie, zarośla i krzewy. Drobne drzewo spalamy, a grube rębimy na "metry". Jest tu dużo drobnych liściastych zarośli, ale są też mdrzewie - olbrzymy, które sprawiają nam sporo kłopotu. Ziemia pokryta jest grubą, może metrową warstwą pięknych kolorowych mchów. Po nasidzie inna brygada i zdejmuje te mchy. Dziś, w czasie deszczu niemożliwe było pracować. Zmokliśmy do ostatniej nitki i mimo strachu poszliśmy wcześniej do domu. W domu jest też nie do wytrzymania. Celna gada bez przerwy jak kataryna, chłopcy Jaroszki biegają tam i z powrotem, noszą błoto, deptają po pościeli, karaluchy łążą po naczyniach. W nocy do ataku przystępują wszy i pluskwy - istne piekło.



11 1940 r

"Tato"

30.V.

Dostaliśmy "nieszkanie" w nowym baraku. Jest to po prostu taki boks o wymiarach 1,90x3 m. Do jednego wspólnego pieca należy pięć takich kajutek. Mamy teraz sąsiedztwo bardziej spokojne. Sąsiednie boksy zajmują: państwo Kabatowie, młode małżeństwo, którym dziecko umarło w drodze, państwo Węglarzowie, też bezdzietni, oraz dwie bratowe: pani Dutkiewicz z synkiem i pani Burda z córeczką.

8.VI

Nazbierało mi się różnych spraw do odnotowania. Najpierw miałam ciężkie przejście: chcieli mnie wysłać do Matygieny, do sowchozu oddalonego od naszego osiedla ok. 100 km do pracy na całe lato. Nasza rodzina składa się z trzech osób i bardzo nie chcielibyśmy się rozstawać. Prosiłam, płakałam i jakoś mnie zostawili. Lecz ojca wysłali do budowy baraków na sianokosach koło Wienjaminowska. Do domu przychodzi tylko na niedzielę, tj. "wychodny", gdyż to osiedle jest oddalone ok. 30km bez żadnej drogi. Ostatnio zmienił się dyrektor przedsiębiorstwa. Dotychczasowy nazywał się Jefremow, został gdzieś przeniesiony. Nowy nazywa się Nikolenko. Wygląd ma dość sympatyczny. On właśnie zdecydował o zwolnieniu mnie od wyjazdu, ze względu na to, że ojciec przebywa w Wienjaminowsku. Zyskałam tylko przydomek "mamina córeczka". I jeszcze jedno ważne wydarzenie. Otrzymaliśmy list od mamy wuja ze Stanisławowa, Andrzeja Znamirowskiego. Biedny wujek pisze, że jego syn Stach, który mieszkał w Janówce koło Zaleszczyk też został wywieziony do Kazachstanu z żoną i dwojgiem malutkich dzieci. Wuj przysłał też pieniądze za sprzedane mamine futro.

15.VI.

Tato ma teraz bardzo złego zwierzchnika. Jest to Żyd, nazywa się Janikin. Zły, nieprzystępny, bałaganiarz. Niewłaściwie szacuje wykonaną pracę i każdego stara się oszukać. Dzięki niemu tatowa wypłata wyniosła tylko 20 rubli, podczas gdy ja dostałam 60.

Dziś czuję się jak pokamana i na rękach mam krwawe odciski. Pracuję ostatnio przy budowie tamy. Cały dzień narzucałam żwir, a ponieważ na karku mieliśmy nadzór, nie sposób było ani chwili spocząć, bez przerwy poganiali.

Wiosna syberyjska jest teraz w pełni. Właściwie zaczyna się lato. Tajga jest przepiękna, te odwieczne lasy mają szczególny urok. Kwitną przepiękne kwiaty, niespotykane u nas w Polsce. Całe łany niebieskich lub żółtych kosaćców, różowych prymulek, jakieś niesamowite storczyki i inne, których nazw nie znam. Jednak całe wra-

zenie, piękna zatruwają roje muszek i komarów. Ubrania nosimy szczelnie związane, mimo że jest bardzo ciepło. Na rękach rękawice, rękawy w nadgarstkach obwiązane, nogawki spodni wpuszczone do butów, na głowach chustki, a na twarzach ciemne siatki. Co z tego, że słoneczko pięknie świeci i świat kwitnie wszystkimi kolorami wiosny, gdy się go ogląda przez czarną siatkę. Jak tu podziwiać piękno, gdy trzeba drapać ukąszone miejsca albo dusić muszki, które dostały się za siatkę.

W lesie rośnie dziki czosnek, jest bogaty w witaminy i chroni przed szkorbutem. Wszyscy go jemy i całe osiedle śmierdzi czosnkiem.

W baraku mamy teraz trochę lepiej i czystiej, choć ten nasz kąpiel jest strasznie mały. Śpiemy już teraz na łóżkach z siennikami. Mama powstawiała nogi kółek w garnuszki i puszki z wodą, żeby pluskwy nie lazy. Bieliznę się wyprało, tak że insekty mniej dokuczają.

14.VII.

Dawno nie pisałam, bo nie mogłam skupić uwagi z powodu ostatnich wydarzeń.

Najpierw uciekli Krasowscy - ojciec, dwu synów w wieku ok. 22 i 12 lat i córka, lat ok. 15. Komendant, gdy przyszedł na kontrolę do baraku, zastał ich kajutkę pustą. Rozpętało się całe piekło szykan i przesłuchań. Byliśmy wstrząśnięci odwagą tych ludzi. Na pewno nie mieli mapy ani kompasu, bo skąd? Ja dowiadywałam się wcześniej od kogo się dało, gdzie my właściwie jesteśmy. No więc od zachodu odgradza nas ogromna rzeka Angara i niskośćzące się bagna, nie do przebycia w lecie. Łożystę i prowianty w okresie lata przewozi się samolotem. Do stacji kolejowej jest ok. 800 km. Większe przewozy robi się zimą, gdy Angara jest zamarsznięta. Na tej rzece jest prawdopodobnie tylko jeden prom na przestrzeni kilkuset kilometrów. Dlatego też Ruscy nas tak na każdym kroku nie pilnują, bo wiedzą, że tajga jest doskonałym więzieniem.

Następna sprawa; zbierali pieniądze na pożyczkę wojenną. Żądali zdeklarowania 1-miesięcznych poborów. Odmówiłam, przecież ledwo wystarcza nam pieniędzy na wykupienie tych nędznych racji żywnościowych, ale jak wsiedli na mnie w komendanturze, to musiałam podpisać. Do tej pory poza tym potracają nam za podróż tutaj.

Później zachorowałam na zapalenie stawu w kolanie prawej nogi. Było tak źle, że skierowano mnie do szpitala. Obsługa w szpitalu jest bardzo dobra i bardzo sumienna. Ja jednak po paru dniach uciekłam do domu, bo nie mogłam patrzeć na cierpienia leżących tu ludzi. W moim pokoiku leżała młoda Rosjanka chora na zapalenie obu stawów kolanowych; prawie całkowicie straciła władzę w nogach.

W sąsiedniej salce umierało dziecko na dżynterię, obok leżała młoda dziewczyna, Głazsa, która straciła werok.

18.VII.

Już ósmy dzień jestem na zwolnieniu chorobowym. Noga jeszcze mnie boli i staw mam opuchnięty i czerwony, ale już mogłam okopywać nasze ziemniaki. Obie z mamą ściągaliśmy też drzewo z lasu na opał. Chcemy zgromadzić jakiś zapas suchego drewna, póki jest ładna pogoda. Z tego powodu zyskałyśmy u naszych rodaków niechęć i nienawiść. Ciekawe czym ogrzejają swoje baraki, gdy przyjdą chłody i na czym będą gotować? Ziemniaki, które otrzymaliśmy na sadzenie, naturalnie prawie wszyscy zjedli. Tylko 3 rodziny posadziły. Obecnie znowu zkapali jakąś plotkę i nie robią nic, bo szykują się do powrotu.

Niektórzy z naszych zachowują się jakoś po ludzku i z godnością znoszą ten ciężki los, ale niektórzy tylko przynoszą watył. Jedni, jak Ziemsy, Zymalczuk, Kramarzowa, Czerwonogrodzki po prostu "wleżą do tyłka" "naczałatwu", donoszą na innych, wymyślają jakieś wysrane z palca plotki.

My tu jesteśmy zbieraniną z różnych miejscowości i faktycznie z przeszłości nie znamy się, ale już powstały jakieś nieuzasadnione nienawiści, zatargi.

Tęwa grupa specjalizuje się w drobnych kradzieżach. Kradną żywność i rzeczy u innych przesiedleńców - Niemców, Finów, Zabajkałców, choć wszyscy otrzymujemy jednakowe kartkowe przydziały.

Niektórzy są tak brudni, niechlujni, zawszeni, aż obrzydzenie bierze. Muszę stwierdzić, że ci inni przesiedleńcy są bardziej kulturalni. Te same przydziałowe ubrania mają czyste i połatane, a w domach mają wręcz idealny porządek.

Wiem o tym, bo przyjaźnię się z Lubą - Niemką z Powożaa i z Ninką, która jest Buriatką. Ja bywam u nich i one do mnie przychodzą. Zaprzyjaźniłam się też z pewnym Finem. Ma na imię Piotr. Jest bardzo miły i podoba mi się, ale przecież tu nie można snuć żadnych planów. Zarówno my, jak i oni oczekujemy wyzwolenia i powrotu do ojczyzny. Z tego powodu młodzi ludzie z rodzin przesiedleńczych nie zawierają tu związków małżeńskich i nawet rzadko tworzą jakieś trwałe "pary".

24.VII.

Wczoraj otrzymaliśmy list od naszego kochanego wuja ze Stanisławowa. To jest bardzo ważny czkownik. Bardzo nam pomógł, gdy rodzice byli na dorobku w Monasterzyskach. Jego syn też został wywieziony do ZSRR i nie daje znaku życia. Biedny wujek, serce mu Dęka z niepokojem.

Dziś wrócił nasz list pisany do pani Szażankiewiczowej do Monasterzysk. Na kopercie była adnotacja: Adrest wyjechał do ZSRR. Pan Szażankiewicz był policjantem i po wkroczeniu Ruskich został aresztowany. Ja przyjechałam się z ich córką, Lusią, moją rówieśnicą. Mieli jeszcze dwoje młodszych dzieci. Ciekawe, gdzie oni teraz są.

25.VII.

Z "centralnego" osiedla przyjechał taki Sierioża, który nas konwojował w drodze z Bogorodzkiego. Wspólnie z naszym komendantem spieszyli niektóre rodziny, według mojego rozeznania te, które mają najniższe zarobki i cięższe warunki. Spowodowało to falę nowych plotek na temat wyjazdu do Polski.

Sierioża przyzedeł mi odwiedzić i zapytać o zdrowie. Bo zapomniałam napisać, że on mnie uratował spod kopyt konskich. Spadłam wtedy po drodze z siana wprost pod kopyta następnego konia. On pomógł mi się wydostać z tego przepastnego śniegu.

Już chodzę do pracy.

30.VII.

Znowu dużo goryczy.

Za pół miesiąca pracy dostaliśmy z ojcem po 10 rubli. Do tego, stojąc w kolejce po wypłatę nasłuchiwałam się dużo przykrych słów i oszczerstw. Cały wieczór przepłakałam; jak straszna jest podłość ludzka. Oto nasi kochani rodacy zaczęli na mnie pyskować, że przygotowujemy drzewo na zimę, że posadziliśmy ziemniaki, to znaczy - chcemy tu pozostać. Że się przyjaźnię z Ninką i z Lubą, że uczę się mówić i czytać po rosyjsku i jakieś takie brednie. Tak grupi są ci ludzie, że słów brak. Tak się złożyło, że Ninkę i Lubę za jakąś karę wysłali do wyrębu lasu. /Przedtem pracowały w elektrowni/. Ja nie miałam wtedy współpracniczki, więc połączyli nas w jedną brygadę. Obie bardzo miłe dziewczyny i dobrze mi się z nimi pracowało. I to zostało tak podle przyjęte przez naszych. Ostatnio nawet do nich nie chodzę. Po powrocie z pracy albo plwuję ziemniaki albo idziemy z rodzicami na jagody, których jest tu niewypowiedzianie dużo. Nie zbiera się ich, lecz częściej specjalnymi grzebieniami. Są borówki wysokie "gołubice", borówki niskie "czernice", brusznice, żurawiny, smorodzina, poziomki. Robimy z tych jagód powidła. Mama dorabia szyciem, ojciec znany już w osiedlu "majsterklepka" wykonuje przeróżne naprawy. Ja robię swetry. Stale ktoś do nas przychodzi z robotą. W naszej izdebce mamy czysto i ładnie i to wzbudza zazdrość, stąd te napaści. Ja i moi rodzice nikogo nie krzywdzimy i ujmy Polsce nie przynosimy tym, że pracą zdobywamy

codzienny byt, nie żadnym podlizywaniem się, nie donosicielstwem czy kradzieżą. Wręcz przeciwnie, rodzice wielu ludziom pomagają. Przyznają, że uczy się rosyjskiego, ale to przecież nie zbrodnia, może mi się to jeszcze przyda.

Pewnie, życie nasze jest tutaj bardzo trudne, ale aby przetrwać, trzeba coś robić, nie tracąc przy tym swojej godności i nie krzywdząc innych. Ale nie wiem, czy ci ludzie, przez których teraz przechodzi wiedza nawet, co to jest godność.

2.VIII.

Ze strachu nawet pisać nie mogę. Boję się, że na naszej działce, na wyrębie zapali się las. Jest teraz bardzo gorąco, upalnie, sucho i wieją wiatry. Pracuję na wyrębie z Franką Biernatówną. Wszak nam każą spalać za sobą gałęzie, a tu mimo największej ostrożności trudno jest ustrzec się przed pożarem, gdy przy takiej pogodzie pali się w lesie ogniska. Warstwa mchu w lesie, a zwłaszcza na poligonie osiąga nawet metr grubości. Podczas palenia gałęzi zapalają się głębokie warstwy mchu i tlą się niewidocznie, a gdy się już odejdzie, nieraz w nocy, podmuch wiatru roznieca pożar. Na naszej działce mamy takie ukryte ognisko i nie możemy go znaleźć, ani odkopać, ani zalać wodą. Zagrozili więzieniem tym, na których działce wybuchnie pożar. Najgorsze jest to, że wypędzają nas do gaszenia. A pożar lasu to straszna rzecz, przerażający widok. Teraz pali się działka Iskrzaka i Niemca i gdzieś za drogą widać dym. Słyszę, że wzywają do gaszenia. Zaraz przyjdą po mnie.

11.VIII.

Ten tydzień był bardzo ciężki i wywarł na wszystkich przygnębiające wrażenie.

Na początku tygodnia zostali schwytani Krasowscy. Ojciec oraz najstarszy syn Franek zostali aresztowani i siedzą w więzieniu, a Wanda i młodszy chłopiec zostali przywiezieni na osiedle.

Są wynędzniali i opuchnięci od ukąszeń komarów i muszek.

Po ucieczce z osiedla kluczyli po tajdze omijając drogę i wszelkie zabudowania. Żywili się sucharami z przydziałowego chleba. Schwytani zostali nad Angarą. Prosilili jakiegoś przewoźnika, ażeby przewiózł ich na drugą stronę. Ten kazał im przyjść nad ranem, a sam powiadomił NKWD. Gdy rano przyszli, już czekała na nich milicja. Ile oni się namęczyli! To nieludzki wysiłek, przejść o suchym chlebie tyle kilometrów! Prawie miesiąc się błąkali, po to aby ich z powrotem przywieźli i wsadzili do więzienia.



"Wandzia"

Wandę i Stasia przywieźli na osiedle w Brodę, a w czwartek zjechał na osiedle sąd. Sądził tych, którzy nie wykonują normy, spódniają się lub zupełnie uchylają się od pracy, opuszczają dni - tzw. "progulszczyków".

Pierwszy był sądzony Kuśnierz i skazano go na 4 miesiące aresztu za niewykonywanie normy. On wygląda na chorego, jak go wsadzą do więzienia, to się całkiem wykończy.

Później sądzili Haniszewskiego, Madalę i Iskrzaka.

Ja i Frania Biernatka przy ostatniej wypłacie nie dostałyśmy ani grosza, a jeszcze nam powiedziano, że powinnyśmy być sądzone. Obie pracujemy naprawdę na ile nam siły pozwalają, bo chcemy zarobić na wyżywienie, wierzymy, że jeśli będziemy zdrowe - wrócimy do Polski. Taka chwila na pewno przyjdzie. Musimy doczekać i my, i nasze rodziny.

Wszystko to podziąkało na nas bardzo przytłaczająco. Pokazano nam, w jakiej jesteśmy przemocy.

Na dodatek otrzymaliśmy list od pani Szakankiewiczowej.

Okazuje się, że Lusia była w chwili wywozu w szkole w Jazłowcu.

Więc Szakankiewiczową z dwojgiem małych dzieci wywieźli do Kustanajskiej obłasti, natomiast Lusię do Semipałatyńskiej. Lusia jest trochę młodsza ode mnie, wątła, szczupła; jak ona da sobie radę sama w obcym kraju. Co za rozpacz, jakże mi ich wszystkich żal; mąż aresztowany, matka z dwojgiem małych dzieci wywieziona w jedną stronę, córka w drugą. Pewnie nawet nie mają z sobą kontaktu.

25.VIII.

Jest godzina 15 po południu i ja się wreszcie wyapałam po "wycieczce". Czas od 12.-go do 24.-go sierpnia spędziłam w tajdze przy gaszeniu lasu w rejonach odległych od naszego osiedla o ok. 60 km, nocując pod gołym niebem.

Bardzo mi się ta wycieczka podobała, dlatego chcę opisać ją dokładnie.

Dnia 12.VIII. wyznaczili brygadę 20 ludzi, wydali nam po 6 kg chleba, 2 kg jagiek, trochę makaronu, cebuli, cukru i masła i kazali nam przygotować się do podróży, tzn. wziąć ze sobą garnek, łyżkę, lekką siekierę i odzież. Wyruszyliśmy po południu a wieczorem dotarliśmy do Wienjaminowska. Nasze tobołki jechały na furnance. W składzie brygady było 10 młodych dziewcząt, kilku chłopców i kilku mężczyzn. Grupę prowadził leśniczy, starszy człowiek, mądry i sympatyczny, oraz młodszy od niego strażnik. Zanocowaliśmy w Wienjaminowsku w szałasach na sianokosach. Leśniczy opowiadał nam, że Wienjaminowsk to najstarsze osiedle poszukiwaczy złota założone dla zesłańców Polaków

Pokazywał nam jeziorko, w którym pluкали złoto, oraz drogę z okrągłaków, którą oni budowali. Ten trakt wiodł do Podkamiennej Tunguzkiej. Do dziś mieszkają tu Polacy, którzy wprawdzie nie pamiętają polskiej nowy, ale podają się za Polaków.

Długo wieczór siedziałyśmy z Marysią Zwojewską nad wodą i myślałyśmy o zesłańcach, którzy od tylu lat są zsyłani w te dzikie ostepy. Tu może pomarli tęskniąc do kraju i swoją pracą bogacąc wrogów.

Rano wyruszyliśmy w dalszą drogę niosąc swoje mizerne wyposażenie już na plecach. Od Wienjaminska wiodą w tajgę tylko myśliwskie tropy, drogi już nie ma. Dzień był upalny i tobołki bardzo nam ciążyły. Szliśmy dość szybko, odpoczywając po każdej godzinie marszu 10 - 15 minut. Trzeba było wiele zręczności, aby przebyć niektóre przeszkody; wyrwy, powalone drzewa, strumienie o urwistych brzegach. Przeważnie szliśmy wzdłuż rzeki Udirej. Jej brzegi są tak piękne, że napatrzeć się trudno. Szła porośnięta bujną, soczystą trawą i niespotykanymi kwiatami. Miejscami aż do wody schodzą pionowe skały marmuru - jedne białe, żyłkowane, w innym miejscu różowe, lśniące w słońcu.

Przed wieczorem, po trudnej wędrówce zatrzymaliśmy się w pewnym miejscu, gdzie miało być nasze obozowisko, i punkt wyjściowy do pracy. Pożaru nie było widać, lecz chodziło o skontrolowanie obszaru i odcięcie miejsc, gdzie tliły się mchy.

Leśnik kazał nam budować szałas z gałęzi. Mężczyźni zaraz się oddzielili i na hoku zbudowali sobie porządny szałas. Chłopcy też coś sobie sklecieli, tylko nam, dziewczętom nie nie wychodziło. Do głowy nikomu nie przyszło, żeby nam pomóc. Ponieważ zbliżał się wieczór, namiętnieśmy dużo gałęzi. Z gałęzi zrobiliśmy coś w rodzaju wału, który by chronił nas od wiatru i rozpaliłyśmy ognisko. Słońce naszkodziło wraz ze zmrokiem od rzeki nadciągnął dotkliwy chłód. Zarówno chłopcy jak i starsze chłopcy przyszli do naszego ogniska ugotować jedzenie, a potem szybko unieśli do swoich bud. A my przytulone do siebie jak kuropatwy dręmałyśmy mając uczucie, że wcale nie śpimy. Marzyłyśmy okropnie. Z jednej strony od ognia żeliła się odzież, a drugi bok kostniał z zimna. Tak spędziłyśmy 12 nocy. Miałam zawsze wrażenie, że wcale nie spałam, ale rano wstawałam wypoczęta.

Na drugi dzień przyszli do naszego ogniska "wolni" poszukiwacze złota. "Wolni" mogą szukać złota na własną rękę. Nie wolno im tylko szukać w dolinach rzek, gdzie może dojść draga/.

To oni byli sprawcami pożaru. Jeden z nich mieszkał przedtem na naszym obojrze, nawet przychodził do naszych baraków. Mył tutaj skóto ze swoim bratem. Parę dni temu zostawili tłące się ognisko i poszli w górę rzeki szukać żył skóto. Wiatr rozniósł ogień, spaliła się im chatka wraz z całym dobytkiem i pudręczeniem złotego piasku. Praca całego lata poszła na marne. Jeszcze w tym samym dniu zwinęli namioty i poszli na oświadcze.

My wstawaliśmy codziennie o godz. 5-tej. Mycie się w rzece, gotowanie jedzenia /nieodmiennie kasza jaglana/, śniadanie i wyjazd do lasu. Podzielono nas na dwa oddziały; my, dziewczyny szłyśmy z leśnikiem, a mężczyźni ze strażnikiem, każda brygada w inną stronę. Szliśmy lasem i tam, gdzie znajdowaliśmy tłące się miejsca, zasypywaliśmy je ziemią lub przekopywaliśmy rowy i krywały mech. Były jednak dni, że nie napotykalismy na żadne ogniska. Wędrowaliśmy więc po lesie wypatrując cedrów z podownymi w smaku orzechami. Podziwiałam tę dziką przyrodę i piękne krajobrazy. Obżerałyśmy się jagodami, których wszędzie jest mnóstwo i zbierałyśmy grzyby. W jednym miejscu natknęliśmy się na obżar lasu wypalony kilka lat temu. Widok ten na zawsze pozostał mi w pamięci. Martwe drzewa, opadłe z kory, oplukane przez deszcz i wysuszone na słońcu do białości stoją jak szkielety umarłych olbrzymów tworząc jakiś niesamowity cmentarz. Tylko trawa ożywia ten ponury las. Taki widok ciągnie się na przestrzeni na pewno kilkudziesięciu hektarów albo i kilkuset.

Wieczorem wracaliśmy nad rzekę niosąc w kieszeniach szyszki cedrowe i grzyby i ogromnie zmęczone gotowałyśmy znowu kaszę.

Łiękne drzewo cedrowe jest tu bardzo niszczone właśnie z powodu tych smacznych orzeszków. Jest to drzewo iglaste, bardzo wysokie i proste jak świeca. Na wierzchołku ma koronę jak pióropusz.

Wdrapać się na nie, nie sposób. Aby zdobyć szyszki, niejscowi ludzie po prostu ściągają drzewo. Inny sposób: sporządzają drewniane młoty na długich żerdziach. Taką pałą uderzają w drzewo na pewnej wysokości, aż obtrzęsą szyszki. W ten sposób też niszczą drzewo, bo obijają je z kory. Dlatego coraz mniej jest cedrów.

My znajdowaliśmy szyszki pod drzewami, bo w tak dalską głąsę mało kto się zapuszcza.

Po zjedzeniu kolacji siedzieliśmy przy ognisku, kataliśmy zdarta odzież, gadaliśmy, później układałiśmy się do snu. Dziewczyny przy ognisku, a mężczyźni w szałasach.

Mężczyźni utworzyli jakąś wrogą grupę wobec nas, dziewcząt, podjudzając chłopców, żeby nam dokuczali. Tak jakby do nas mieli pretencje, że się tu znaleźli. Sytuację pogorszył jeszcze mój topór.



Mianowicie miałam dość ciężki topór i leśniczy zwrócił się do mężczyzn, aby któryś wzięli się ze mną. Zaczęli się sprzeciwiać, wtedy leśniczy obejrzał ich topory, wybrał najłżejszy i dał go mi.

My, dziewczęta bardzo zżyłyśmy się. Wpomagaliśmy się nawzajem i mimo ciężkich warunków było nam w gromadzie dobrze. Przy pracy żadna nie oglądała się na drugą, wręcz przeciwnie, zawsze można było liczyć na pomoc. Wyjątkiem była Różia Cięciwa. Ruda, piegowata, ale ładna, ciągle była zła i zjadliwa. Całą swoją złośliwość skoncentrowała na Mańce Zwojewskiej. Obie pochodziły z tej samej miejscowości w Polsce. Nie mogłam dociec, co ta Mańka jej zawiniła, była przecież łagodna, cicha, uступliwa. Gdy tylko rozmowa się urywała, Różka zaczynała natychmiast wymyślać Marysi. Aż wstyd nam za nią było tak przy ognisku, jak i przy pracy. Uciszałyśmy ją, upominały, na nic. Jej złośliwość psuła nastrój wszystkim. Wreszcie leśniczego to rozżłościło i kazał jej pójść do brygady mężczyzn. Przynajmniej na trochę pomogło.

Kończyły się nasze zapasy żywności /i tak uzupełnialiśmy je grzybami i jagodami/, więc leśniczy zapowiedział powrót do domu. Wyruszyliśmy wczesnym rankiem, szliśmy tym samym systemem co przedtem, tzn. po każdej godzinie marszu odpoczywając 10 minut. Ale ten marsz był dla nas nadludzkim wysiłkiem dzięki naszym panom. Rwali do domu ile sił w nogach, a my nie mogliśmy nadążyć. Nasi przewodnicy nie chcieli dzielić grupy, bo mieli tylko jeden kompas, poza tym drogę znał tylko leśniczy. Apelowali do chłopów ażeby mieli wzgląd na nas, odpowiedzią były tylko obelgi pod naszym adresem i jeszcze szybszy marsz. Gdy tak upadałam ze zmęczenia, ze wstydem myślałam o postawie naszych rodaków i porównywałam ich z tymi dwoma Rosjanami, którzy jednak starali się nam pomóc. Przed wieczorem dotarliśmy do Wienjaminowska, tu mieliśmy nocować, ale mężczyźni pognali do osiedla już tylko ze strażnikiem, a my zostałyśmy z leśniczym. Wymoczyłyśmy obolałe nogi w jeziorze zeszłańców. Co za ulga. Rano wyruszyliśmy do osiedla i za kilka godzin byłam pod opieką mamy. Gdyby nie jej protest położyłabym się do łóżka nie umyta i w ubraniu. Nawet jeść nie miałam siły.

27.VIII.

Jestem jeszcze bardzo zmęczona po tej wyprawie w tajgę. Dziś jest dzień wolny, więc mogę trochę odpocząć i wypaść się. Całą noc spędziłam w kolejce po masło i cukier. Tylko trochę spałam siedząc pod ścianą sklepu.

3.IX.

Stało się nam poważne nieszczęście. Mama, uciekając przed bodącym bykiem, który tu stale chodzi po osiedlu, zgubiła kartki żywnościowe. Byłam z prośbą u dyrektora przedsiębiorstwa i u komendanta NKWD, ale nic nie pomogło. Do końca miesiąca będziemy bez chleba i innych przydziałów, a miesiąc dopiero się zaczął.

4.IX.

Nieszczęścia chodzą jednak w parze. Ojciec pracował przy budowie baraku i skaleczył sobie siekierą nogę do kości.

15.IX.

Postawiłam datę 15.IX. ale naprawdę to nie wiem, jaki dzień dziś mamy, bo nie ma kalendarza.

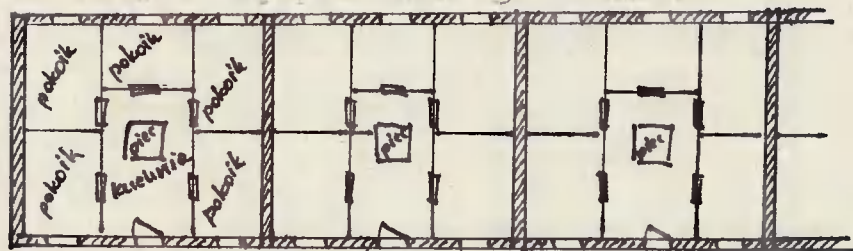
Obecnie pracuję z Marysią Zwojewską i bardzo jestem zadowolona. Dotychczas bardzo długo pracowałam z Franją Biernatówną, lecz zawsze zdawało mi się, że Franja może być pokrzywdzona, bo jest starsza i silniejsza ode mnie i może trochę więcej wykonuje pracy. Z Marysią jesteśmy równe wiekiem i siłami i już od dawna się przyjaźnimy. Marysia ma jeszcze czworo młodszego rodzeństwa, matka jej nie pracuje, a ojciec to patentowany leśnik. Zamiast pracować i coś zarobić chodzi po sąsiednich stanowiskach grać w karty i wróżyć, po pracy też chodzi po chałupach, a dzieci są głodne i obdarte. Utrzymanie domu spadło w zasadzie na Marysię.

Obecna nasza robota jest niezła, bo jest płatna dniówkowo i nie taka bardzo ciężka. Przygotowujemy podłoże pod "łodziankę". Łodzianka jest to tor lodowy do przewozu drzewa z lasu. Gdy spadnie śnieg równą warstwą na wyrównany przez nas teren, przejadą po nim specjalne, duże sanie i wyznaczą równiutkie koleiny. Te koleiny zostaną zalane wodą, która, gdy zamarznie, utworzy trwałą tor. Po tym torze sanie, każde z 4m³ drzewa powiozą je do elektrowni. Droga wiedzie z łagodnego zbocza góry w dolinę. W ciągu zimy tor wymaga stałej konserwacji, wymiata się śnieg z kolein, a wykruszone miejsca zalewa wodą. Ale to dopiero w zimie. My obecnie niektóre miejsca plantujemy, niektóre narzucamy, w niektórych musimy wkopywać się głęboko w ziemię. Pracujemy daleko w lesie same. Jest jeszcze pogodnie i pracuje się dobrze, choć ziemia jest gliniasta. Dziesiętnik Kiryłow odwiedza nas rzadko. Gdzieś dalej pracuje dwóch głuchych chłopów, Muraszko i Kuśnierz. Ponieważ jesteśmy płatne dniówkowo, możemy sobie posiedzieć na słońcu i obserwować życie lasu.

Jeszcze mam coś przyjemnego do opowiedzenia. Dostaliśmy "nowe mieszkanie", tzn. trochę większą od poprzedniej kajutę, też nale-

żącą do wspólnej kuchni.

Tak przedstawia się plan naszego baraku:



Przegrody między pokojkami są z cienkich desek i nie sięgają do sufitu. Kuchnia jest wspólna na pięć rodzin. Z sąsiadami z poprzedniego baraku dobrze się nam układało. W obecnym zespole jest jedna większa rodzina: Ziemiakowie z trojgiem dzieci, dalej Gawlikowa z bratem i dwoma dziewczynkami, dwa starsze małżeństwa: Chmielowie i Ostrowscy i my.

27.IX.

Nadchodzi zima. Dwa razy spadł śnieg, lecz stają jeszcze, leje tylko bez przerwy deszcz. Mimo takiej pogody chodzimy do roboty. Cały dzień pracujemy pod strugami deszczu ze śniegiem. Praca jest teraz bardzo ciężka. Grunt jest gliniasty, zwiezły. Gliny tej ani nie można nabrać na łopatę, ani jej zrzucić. Żadnego zabezpieczenia przed deszczem nie mamy, ręce i nogi mamy popękane do krwi od zimna i wilgoci. Ścinamy teraz większą skarpe i pracę naszą przeklasyfikowali na akord. W takich warunkach trudno będzie coś zarobić.

Wczoraj otrzymałam list z Monasterzysk od Heli Hołubówny - koleżanki z klasy.

Sklepowemu ze spżywżego ktoś skradł 3.000 rubli.

28.IX.

Z powodu sżoty i zimna wszyscy są źli i chcą się kłócić. Przy wspólnej kuchni jest ciasno i brudno. Dużo jest chętnych do gotowania i grzania się, a drzewa nikt nie przygotował.

19.X.

Dawno nie zaglądałam do dzienniczka, ale też nic ważnego się nie działo. Dostałam list od Janki Cisakowskiej, mojej najlepszej przyjaciółki.

21.X.

Wróciły nasze dziewczęta, które były na robotach w Matygenie.

31.X.

Zakończyliśmy wczoraj robotę przy "lodziance" i wróciłyśmy wcześniej do domu. Na dziś nam nie przydzielono żadnego zajęcia, więc siedzimy w domu.

Tato obecnie pracuje w lesie przy budowie baraku. Mama ciągle stoi w kolejkach, bo bez kolejki nic kupić nie można, mimo że wszystko jest na kartki.

Jest już zima. Śnieg już leży od kilku dni i jest dość głęboki.

1.IX.XI.

Dzisiaj niespodziewanie mróz skoczył do -45° . Na dworze jest mgła i cały świat zastygł w bezruchu.

W butach z cienkiej skóry nogi można natychmiast odmrozić, na szczęście wszyscy pracujący otrzymali filcowe walonki.

Ostatnio pracują przy kopaniu kanałów. Naszym zwierzchnikiem jest Semiranow, człowiek kulturalny i bardzo sprawiedliwy.

Z powodu mrozu zwolnił do domu całą młodzież i bardziej wzięte kobiety.

3.IX. XI.

Jest wolny dzień. Siedzę w domu i odpoczywam. Jutro znowu trzeba iść na ten mróz. Pocięszam się tym, że za trzy dni jest rocznica rewolucji i będziemy mieli dwa dni wolne. Na konto tych "świąt" dostaliśmy ponad przydział kartki na 1,5 kg cukru, 0,5 kg cukierków, 1kg masła, ciastka, 1kg kaszy jaglanej, 1kg maki.

Dość często w sklepie sprzedawane jest mięso z ryb, z lososia i jesiotra. Jest wspaniałe w smaku.

7.XI.

Dziś jest "prazdnik", rocznica rewolucji październikowej. Rano był wiece na placu, ale bardzo krótki, bo zimno i każdy zmiażdżił do domu.

W domu jest smutno i źle. Wprawdzie mięśnie odpoczywają, ale dla nerwów męka, jest ciasno, duszno i zimno. Wszyscy gromadzą się koło pieca. Każda gospodyni stara się bliżej środka postawić swój garnek, każdy bliżej podsuwa swoją odzież i buty, aby wyschły, a z opałem, każdy ogląda się na drugiego, żeby ktoś inny palił swoim drzewem. Wprawdzie mieszkamy w lesie, ale teraz, gdy śniegi spadły, trudno jest zdobyć suchy opał. W lacie lenistwo nie pozwoliło większości zgromadzić opału, pod pretekstem, że niedługo wrócimy do kraju.

Gwar, ruch, sprzeczki, wszyscy są na wszystkich źli, nie ma gdzie wyjść, nie ma co czytać. Jest tu wprawdzie klub i biblioteka, ale gdybym poszła, nasi rodacy zrobiliby z tego aferę równą zdradzie stanu. Czasem Rosjanki pożyczą mi jakąś książkę. Mogę się wtedy na chwilę oderwać od rzeczywistości.

20.XI.

Napiszę coś o naszej obecnej pracy. Wraz z wszystkimi kobietami kopią kanał pod drogą. Kanał ma być szeroki na 5 metrów i głęboki na 3. Ma on umożliwić wejście drągi na najdalej obszar doliny nad Udierajem. Wierzchnia warstwa to gruba pierzyna mchu. Pod taką pokrywą ziemia nigdy nie rozmraża. Obecnie jest twarde, jednolite jak szkło, zwłaszcz siwy il. Na dnie kanału, mimo tego silnego mrozu wydobywa się woda. Stoimy po kostki w brylocie i wodzie a mroz sięga do -40°C . Rąbiemy ziemię kilofoami i toporami, ale strasznie opornie idzie ta praca. Normę wykonują tylko najsilniejsze kobiety. Jest bardzo ciężko, ale wolę tę pracę niż wyrąb drzew, gdzie oprócz tego, że ciężko, jeszcze jest niebezpiecznie.

2.XII.

Od kilku dni pracuję znowu przy wyrębie na poligonie. Moją współpracowniczką jest Bronia Kabatowa. Z Marysią rozdzielono nas po zakończeniu łobzianki. Z Bronią też bardzo dobrze mi się pracuje. Wycinamy wzdłuż rzeki wszystko, drzewa i krzewy. Drobne haszczki jeśli się da, to palimy, grube rżniemy na metrowe kawałki, kupujemy na płaczki i składamy w stosy. Norma jest tutaj mniejsza niż w lesie, gdyż drzewostan jest niejednorodny. Więcej jest olchy i brzozy, sosny, świerki i jodły są niższe i mają więcej gałęzi, tylko modrzewie osiągają olbrzymie rozmiary. Te modrzewie są naszym postrachem. Ścięcie takiego olbrzymia dla nas, słabych kobiet to nie lada problem. Śnieg jest głęboki i utrudnia poruszanie się, pełno jest wyrw i dołów, w które się w tym puczonym śniegu wpada. Gdy podcięte drzewo leci, nie można nawet uciekać. A gdy drzewo wpadnie w puch, nie sposób go pociąć, tym bardziej, że las jest rzadki i trudno przygotować podkoże z cieńszych drzew.

Ile strachu i rozpacz przeżywamy przy tym wyrębie, trudno opisać. Przedwczoraj, przed fejerantem scinałyśmy takiego modrzewia - olbrzymia. Pod koniec scinania zacięła nam się piła w pniu i nie było siły, aby ją wydobyć. Nie mogłyśmy też zepchnąć drzewa, choć mamy do tego specjalne widełki na długim drążku. Ciągnęłyśmy za pilę ile sił, pchałyśmy pień, w końcu zrezygnowane stanęłyśmy i zastanawiałyśmy się, co robić, a tu nagle nasz modrzew zakręcił się wokół swojej osi i runął dokładnie pomiędzy nas, zupełnie w inną stronę, niż był podcięty. Pomimo mrozu zrobiło nam się gorąco.

Wczoraj mroz przekroczył 40°C /termometr jest na dyspozytorni/, dziś jest jeszcze zimniej. Gdy wyjmie się rękę z rękawicy, aby zaświecić zapalnik przy rozpalaniu ogniska, ręka natychmiast kostnie-

je, a konce palców bieleją. Ale obecnie nawet nie spalany gałęzi, bo w większości rosną tu olchy, które wcale nie chcą się palić. Cały dzień pilnie pracujemy, bo na takim mrozie nic można ani na chwilę stanąć, czy przysiąść.

Pogoda tutejsza jest dziwnie ustabilizowana i zmiany następują z pewną rytmicznością. Przy temperaturze 15 - 20 stopni mrozu pada śnieg przez 2 - 3 dni, po czym następuje stopniowy spadek temperatury. Co dzień jest zimniej, aż temperatura osiągnie -45, -50, czy nawet -60°C. Świat zastyga. Powietrze jest nieruchome. Żadnego ani najłżejszego podmuchu wiatru, wszystko jest osnute jakąś mgiełką, tylko drzewa "strzelają", ściany baraków, szyby w oknach. Taki "szczyt" nie trwa długo. Po dwu, najwyżej trzech dniach temperatura znowu wraca do -15, -20° i znowu dosypuje śnieg. Nie ma odwilży i dlatego śnieg utrzymuje się jak puch.

6.XII.

Otrzymaliśmy list od pani Szarankiewiczowej z Kustanajskiej obłasti. Znalazła się w kołchozie. Pisze, że są u nich silne mrozy i głód - podobnie jak u nas. Nawet nie otrzymują normy wyznaczonej na kartki. Udało się jej nawiązać kontakt listowny z Lusią.

U nas też zmniejszyli normę kaszy i maki, natomiast otwarta została stołówka. Lecz, by dostać talerz zupy trzeba stać godzinę w kolejce./dostać tzn.- kupić/.

8.XII.

Dostaliśmy list i pieniądze od wuja ze Stanisławowa. Przesłał 450 rubli. Bardzo nas ta kwota poratuje. Pojechał do Monasterzysk, jak go mama w liście prosiła, i wziął od państwa Kardaszów trochę rzeczy, które daliśmy na przechowanie i sprzedał je. Jak już pisałam, ze względu na rozboje Ukraińców sporo naszych rzeczy było przechowywane u pewnego adwokata. Gdy nas wywozili, przejeżdżaliśmy koło domu państwa Kardaszów, ale nie pozwolili nam nawet wstąpić. Jeszcze tam znajduje się dużo naszej odzieży, a u państwa Łabaziewiczów została piękna bielizna pościelowa. Chyba już przepadnie.

Mróz wynosił dzisiaj 48 stopni. Kilka osób odmroziło już nosy i ręce. Niektórzy poszyli sobie nawet kapturki na nosy, ale to nie nie pomaga.

10.XII.

Mróz jest tak wielki, że kobiety odeszali do domu. My z Bronią wczoraj zakończyliśmy naszą działkę na poligonie i wracaliśmy



"Kirovski. Droga do lasu"

z narzędziami. Wracala jeszcze gronada innych dziewcząt. Szliśmy jak zwykle gęsiego, ze względu na głęboki śnieg. Nagle Staszka Ziemska zauważyła, że ma odmrożone palce. Pochód zatrzymał się, ktoś zaczął jej coś doradzać, gdy zauważyliśmy, że cztery z nas ma białe nosy, a dwie policzki. Przerażone zaczęliśmy biec co się do osiedla, rozgrzałyśmy się i to nas uratowało. Taki mróz to zgroza, to śmierć. W baraku jest ciepło, tylko ściany i szyby strzelają. Biedny tato poszedł do pracy.

19.XII.

Kilka dni pracowałam z innymi na dradze przy odrzucaniu lodu. Ponieważ mrozy dochodziły do 50°, wchodziliśmy co godzinę na drogę ogrzać się. Bardzo jest to niebezpieczne. Draga jest w ciągłym ruchu, wchodzi się na nią przez opuszczony trap, który w zależności od kształtu brzegu raz jest bliżej, raz dalej. Operator opuszcza pomost, a my skaczymy na niego w biegu, przy tym walonki mamy oblodzone i ciężkie, a pod spodem jest głębina do ośmiu metrów.

A żeby draga nie obmarzła i nie stanęła, pracujemy na trzy zmiany. Ja ostatnio przepracowałam dwie noce. Mama umiera ze strachu o mnie, że sobie coś odmrozę lub że wpadnę do wody. Siedzi biedna i łata nasze łachy, a zwłaszcza rękawice, które, sztywne od mrozu, bardzo się zdzierają.

20.XII.

Dziś znowu jesteśmy na poligonie, na innej działce. Dotychczasowy kierownik Semiranow został przeniesiony do Siewierojenisejska. Bardzo go żałujemy, bo to był naprawdę dobry człowiek, bardzo litościwy dla Polaków i sprawiedliwy. Podlegli mu dziesiętnicy też musieli uczciwie wypełniać swoje obowiązki. Roboty były odbierane terminowo i dokładnie, a zarobki naliczane sprawiedliwie, nie tak jak u innych, gdzie przy obliczaniu panuje chaos, a dziesiętnicy starają się oszukać na każdym kroku. Teraz naszym kierownikiem jest jakiś Dórzewski, a brygadzystką Rosjanke Spiryna. Byłam z nią przy obmiarze naszej poprzedniej działki. Odmroziłam przy tym oba policzki. Teraz mnie pieką i są obrzmiałe.

25.XII.

Nie będę opisywać naszej wigilii, tu na obczyźnie. Lic nie mówiliśmy do siebie, bo słowa grzęzły w gardle, tylko łzy same ciekły.

27.XII.

Znowu pełno zmartwień. Pierwsze, że mama zachorowała. Ma bardzo wysoką temperaturę. Może to tylko przeziębienie.

Drugie, to, że nowy kierownik Dorżewski oszukał nas przy odbiorze pracy oraz wstawił nam niższą stawkę. A myśmy pracowały jak głupie, żeby zarobić. Jest niedbały, chaotycznie przyjmuje robotę, myli się przy obliczaniu, a na dodatek jest gburowaty.

1.I. 1941r.

Mnie jest już lepiej, ale zachorował Janek Ziemiak - sąsiad zza ściany. Ma wysoką temperaturę i trudno określić co mu jest.

13.I.

Ojciec znowu miał poważny kłopot. Pracuje obecnie w lesie przy wyrębie. Przedwczoraj składał w stos większą ilość drzewa i bardzo przemoczył swoje watowane ubranie. Przy składowaniu ubranie właśnie najbardziej przemaka. Do suszenia ubrań jest specjalne pomieszczenie - suszarnia ogrzewana żelaznym piecem. Ojciec obawiał się, że ubranie nie wyschnie przez noc, przysunął je za blisko pieca no i spodnie spaliły się. Taki wypadek w tutejszych warunkach, to tragedia, bo żadnej odzieży tu za żadne pieniądze kupić nie można. Ile się biedny ojciec nachodził, naprosił, nasłuchał gróźb i wymysłów - wreszcie na drugi dzień wydali mu nowe waciaki, za które będzie płacił, na dodatek zagrozili, że będzie sądzony, bo uważają, że jest to próba sabotażu.

Trzeci dzień robimy na dradze, przy łodzi. Rąbiemy kanał w łodzi na rzecę, aby zrobić odpływ dla kry spychanej przez dragę. Lód jest bardzo gruby, robota idzie opornie i jest niebezpieczna, bo można wpaść do wody razem z odkupanym kawałkiem kry. Dzisiaj pomógł nam z Bronią rąbać lód jakiś Rosjanin z drogi. Rozgniewało to Rózię Cięciwiankę, bo ona zawsze wszystkim zazdrości. Zaczęła do nas coś wykrzykiwać, że złości potknęła się i wpadła do wody. Woda głęboka, mroz chyba ze 40°. Ledwie ją wydarli, bo całe watówki namokły. Na dradze mają zapasowe ubrania, więc ją przebrali i jak gdyby nic się nie stało, kazali iść do roboty.

17.I.

Dzisiaj dostałam list od Danusi Pasternakowej - mojej koleżanki. Obie z matką zostały wywiezione do kustanajskiej obłasti. Danusia mieszkała we Lwowie. Ona i jej brat Romek skończyli gimnazjum. Ojciec ich był urzędnikiem na kolei. Znałam ich, bo na wakacje przyjeżdżali często do Monasterzysk i oboje z Romkiem często u nas bywali. Danusia to ładna i inteligentna panienska.

Romek i pan Pasternak zostali aresztowani w 1939 r. i wywiezieni w niewiadomym kierunku. Danusia z matką zostały wywiezione 10.II.40r. Pisze mi Danusia, że z dnia na dzień czekają na powrót. Obecnie jest traktorzystką w kolchozie.

U nas w osiedlu nastąpiła zmiana dyrektora przedsiębiorstwa. Nowy dyrektor nazywa się Kaszczniakow. Do nas, Polaków jest bardzo źle ustosunkowany. Szydź, że nie umiemy nic robić, bo jesteśmy "panowie". Gdy się ktoś uskarża na zimno, mówi: pozamarzajcie prędzej, wywiezieny was za drogą /orientarz/ i będzie spokój. Nasze dziesiętniczka Spiryna za czasów Semiranowa zachowywała się znośnie, obecnie stała się zła jak diablica. Donosi każde przewinienie do dyrekcji, nasniewa się z czyjejs niedolności czy bezradności, obrzuca nas przezwiskami.

Ja ostatnio trzy noce z rzędu przepracowałam przy łodzie koło dragi. Trzy noce pod gołym niebem, przy tych strasznych mrozach, które zamrażają oddech w piersi, które są straszne jak śmierć. Stoi się przy świetle latarni nad głębiną, od której unosi się lodowaty opar, buty obmarznięte, pokryte grubą warstwą lodu, ciężkie jak kajdany - jakże bezsilny jest człowiek.

19.I.

Tato i mama przebyli grypę. Teraz ja jestem chora. Bardzo źle się czuję, ledwo włożę nogami, a muszą iść do pracy. Nie dostałam zwolnienia, bo mam $37,8^{\circ}\text{C}$, a trzeba mieć 38° .

25.I.

Spóźniłam się do pracy pół godziny. Wadził bardzo źle się czuję. Widziaka mnie Spirynie. Na pewno doniesie, a za spóźnienia bardzo karzą.

28.I.

Z żalem żegnaliśmy dziś z Bronią poligon. Jutro idziemy na wyręb do lasu. Tu, na poligonie, można było choć trochę zarobić, a tam - nic, kompletnie nic. To jest zabójczą robotą, zwłaszcza dla kobiet. Za 1m^3 drzewa modrzewiowego porzniętego i ułożonego w sąg - płacą 1,95 rubla, a za 1m^3 drzewa sosnowego - 1,57 rubla. My we dwie nie zdołamy więcej narznąć dziennie jak 3m^3 , czyli zarobimy dziennie 2,3-2,5 rubla. Tyle w stółce kosztuje porcja kawy. Nie wystarczy nawet na wykupienie chleba. Poza tym zastosowano progresję płac. Tzn. po oddaniu 40m^3 drzewa dostaje się 25% więcej. Ale my, kobiety nigdy tej progresji nie osiągamy, bo przerzucają nas do innych prac, a do progresji liczy się ciągłość pracy przy wyrębie. Druga sprawa to wykonanie normy. Na jednego drwala norma wynosi $5,25\text{m}^3$ drzewa modrzewiowego, lub $7,5\text{m}^3$ drzewa sosnowego. My nawet nie jesteśmy w stanie wykonać normy. Jeszcze nas mogą sądzić za to.

3.II.

Już od kilku dni pracuję przy wyrębie. Dotychczas chodziłyśmy



"Droworub Danusia"

codziennie do domu 7 km. Od jutra będziemy mogli nocować w baraku w lesie. Mężczyźni już tam nocują od dawna. Barak został podzieleny na dwie części, mężczyźni dostali połowę bliżej drzewi, my w głębi. Na środku stoi piec, a na nim kocioł z wrzątkiem, który nazywa się "czajem". Zupę, kaszę i chleb przywożą z osiedla. Nie mam wielkiej ochoty tu nocować, ale codzienne dojeżdżenie do pracy i powrót do domu są bardzo ciężkie. Rano droga jest zawsze zamulana i trzeba brać po kolana w sypkim śniegu. Wychodzi się po cieknu i wraca po cieknu. Tato też nocuje w baraku w lesie i przychodzi do domu tylko na "wychodny".

Wczoraj ciężko zachorował Władek Gawlik, sąsiad z sąsiedztwa. Wygląda to na ogólne wyniszczenie organizmu i szkorbut. Ciężko chory jest również Marek Michał, nasz sąsiad z Monasterzysk. Będąc w Polsce był zwolennikiem komunizmu i cuda opowiadał o dobrobycie w ZSSR. Teraz zmienił zdanie.

9.II.

Ten tydzień był bardzo smutny. Najpięknie zmarł Władek Gawlik, miał może 30 lat. Iotem zmarł Marek Michał, miał 50 lat. Wczoraj był jego pogrzeb. Jego żona też jest chora. Wiśka i Stefa, młode jeszcze dziewczynki są żółtaczki. Janek, ich starszy brat /przyrodni/ ożenił się z Rosjanką i odszedł od nich.

Ziemski Wojciech leży w szpitalu na szkorbut, chorzy są też opaj Baki, a Ziębina na chyba tyfus, bo szybkoitko przewiezli ją do szpitala w Južnojeńsk.

Taka jest tutaj zasada, że trzeba pracować, aby dużo zarobić i jak najlepiej odżywić się, bo niedożywienie, to choroba, wyniszczenie organizmu i śmierć.

Ale teraz prawie wszyscy pracują w lesie przy wyrębie, gdzie praca jest bardzo ciężka, a zarobki małe,

23.II.

Dostałam list od Heli Jołub z Monasterzysk. Nie mogłam go nawet przeczytać do końca, bo był wesoły i pusty, a tutaj ...

Wczoraj zachorowała mała Gienia Gawlikówna. Taka miłutka, cichutka dziewczynka z naszego baraku. Teraz matka zaniosła ją do szpitala.

Dziś zmarła Bąkowa.

Tyle ludzi choruje i umiera, choć nie ma żadnej epidemii. Przyczyną jest wycieńczenie, szkorbut, zapalenie płuc.

7.III.

Dawno nie zaglądałam do moich notatek, bo nie miałam czasu.

Dnie są jednostajne, szare, bez radości, wypełnione ciężką pracą. Rzadko nocuję w baraku w lesie. Przychodzę na noc do mamy. Wstaję o godzinie 5-tej, ubieram się, jem śniadanie i o 6-tej wyruszam w drogę, najczęściej sama. Gdy dosypie śniegu, lub zawieje dąb, trzeba brnąć po kolana. Po przyjeździe na miejsce, 5 minut odpoczynku w baraku i do lasu. Śnieg w lesie głęboki powyżej kolan i bardzo sypki. Od pnia drzewa odgarnia się go łopatką, żeby pianiek został niziutki. Trzeba go też okorować.

Teraz pracuję z Wisią Markówną. Obie jesteśmy słabe i wątłe. Ja nie ukończyłam jeszcze 18 lat, Wisia ma 17.

Ody zaczynamy przycinanie drzew, uważamy, że jest to najcięższa czynność i w dodatku niebezpieczna. Szczególnie przy tym dużym śniegu, który hamuje każdy krok.

Gdy nazwalamy pewną ilość drzew i zabieramy się do piłowania /po obcięciu gałęzi/, znów uważamy, że jest to najcięższa praca, bo czy łatwo jest piłować pnie, które wpadły w głęboką pierzynę śniegu i pokrzyżowały się nawzajem?

Następnie rozbijamy klocki na płaszki. Ta robota jest naprawdę najcięższa, bo trzeba mieć silną rękę, aby rozbić metrowej długości, grubego kłosa. Drzewa rosnące na zboczach mają słoje poskręcane jak sznury. Kujemy taki klocek godzinami. Obskoczone ma poziekane jak kotlet, zanim się w końcu rozleci.

I wreszcie najlżejsza robota, układanie klocków w stopy.

Nó i od nowa; zwalanie, obcinanie gałęzi, piłowanie, itd ...

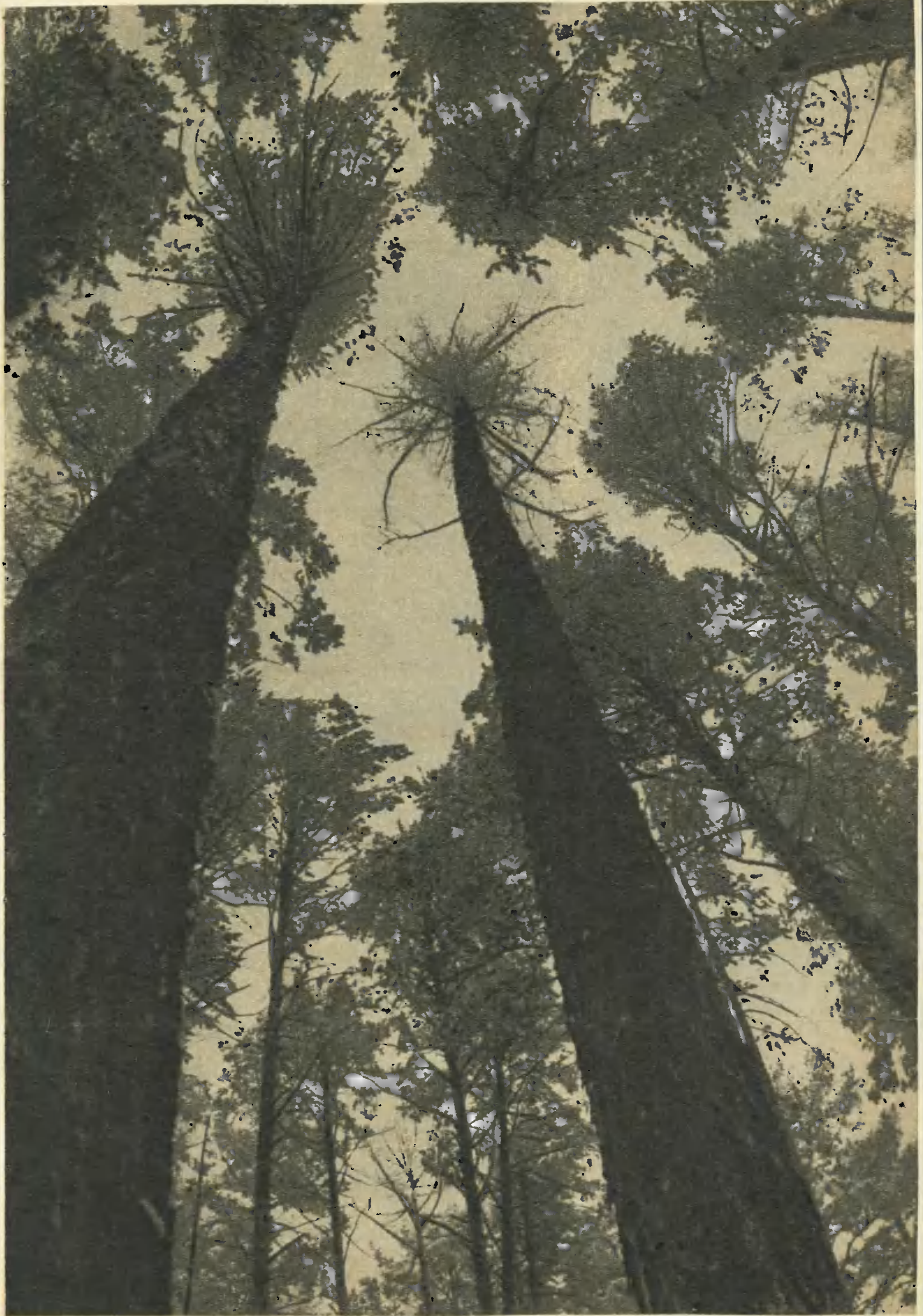
Czasami wpada na naszą działkę dziesiętnik Szurka Takmakow, bardzo miły chłopak. Oglądnie piły, topory, poostrzy, poprawi.

My przez ten czas szybko stawiamy klocki, które on w okamgnieniu rozbija jednym uderzeniem. Złoty chłopak - nieraz pomoże w ciężkiej sytuacji. Niewielki, szczupły, lecz zwinny i silny. Robota pali mu się w rękę. Lecz cóż, Szurka nie może cały czas nam pomagać. Najczęściej, a właściwie cały czas pracujemy same.

Dzień od dnia różni się tylko tym, że np. dziś cały dzień zwalamy, jutro piłujemy, czy rozbijamy klocki, albo tym, że wczoraj był duży mróz, a dziś zelżał, ale za to był wiatr itd.

Wiatr szczególnie stwarza nam dużo kłopotów przy zwalaniu. Praca jest wtedy bardzo niebezpieczna. Mimo mrozów ubranie nam namaka i zamarza jak pancerz, tak że trudno się w nim poruszać. Bardzo się przy tym zdziera.

Wydarzyła się sensacja: Uciekł Szczepaniuk. Oby się mu lepiej poszczęściło niż Krasowski.



10.III.

Wczoraj przeżyliśmy chwilę grozy, ale wszystko dobrze się skończyło. Był wiatr i przy ścinaniu jedno drzewo powiesiło nam się na drugim. Potem powiesiliśmy jeszcze trzy drzewa. Kolejne drzewo zaciśnięło nam piłę, tak że nie mogliśmy jej wydobyć. Spychaliśmy go widełkami, wówczas zatoczyło przerażający łuk i ośiadło na innym drzewie. Wiatr miotał drzewami, a my nie wiedzieliśmy, co robić. Na szczęście w pobliżu pojawił się Szurka. Wezwaliśmy go na pomoc. Gdy zobaczył, co się dzieje, zaczął kląć, potem wygonił nas z działki i zabrał się do podcinania drzew. Baliśmy się, że przy tym wietrze coś mu się może stać, ale on dość szybko uporał się ze wszystkimi powieszonymi drzewami. Gdy przyszkliśmy do baraku, zawołał: Uwaga, wchodzą szczególnie uzdolnieni drwale. Wszystkie drzewa na swojej działce podpiłowały, ale ani jedno nie spadło na ziemię. Naturalnie wszyscy mieli ubaw, w końcu myślny się też zaczęły śmiać z naszych umiejętności.

26.III.

Aby podnieść wydajność pracy, nasi zwierzchnicy utworzyli brygady leśne. W skład takiej brygady wchodzi dwóch mężczyzn i dwie kobiety. Mężczyźni zwalają drzewa i rozbijają klocki, kobiety mają za zadanie zwalone drzewa oczyścić z gałęzi, rozpiłować na metrowe klocki, a następnie płachy układać w stosy oraz uporządkować gałęzie. Korowanie pieńków i odgarnianie śniegu też należy do nas. Odpadła nam wprawdzie najcięższa część roboty, ale też trzeba się napracować, a do tego mężczyźni są na nas obrażeni, że pracują "na nas".

Inna zmiana, która ma wkrótce nastąpić - rodziny wielodzietne oraz takie, w których nie ma kto pracować w lesie, np. samotne matki z dziećmi mają być przesiedlone do kolchozu nad Angarą, do Matygieny. Ludzie cieszą się, że jest to początek wyjazdu do kraju.

31.III.

Zima troszkę zelżała, chyba zbliża się wiosna, ale ogólnie jest coraz gorzej. Na kartki coraz mniej dostajemy i kolejki coraz dłuższe. Ludzie bardzo chorują na szkorbut. Umarła młodsza dziewczynka Gawlikowej. Starsza, Gienia umarła już w końcu lutego. Gawlikowa została sama i też jest chora. Nie wiem, co się stało z jej mężem, a teraz w krótkim czasie straciła brata, matkę i dwie córeczki, malutkie, cichutkie okruszyny.

1.IV.

Mam teraz niezłą i dość śmieszna pracę. Moim współpracownikiem jest stary Jakub Sitek. Przygotowujemy drzewo na węgiel drzewny dla kuźni. /Węgla kamiennego tu nikt nie widział/. Miejsce naszej pracy - "węglarka" - jest oddalone od osiedla o ok. 15 km. Codziennie o godz. 6-tej wyruszamy z dziadkiem z siekierkami ze pagiem. Droga jest trudna, śnieg duży. Dziadek ledwie zipie ze zmęczenia. Po przyjeździe jest niezdolny do pracy. Jest tu mała izbuszka a w niej piec, Sitek siada przy nim, podkłada i grzeje się. Na węglarce pracuje kilku robotników Rosjan, na więc dziadek z kim pogwarzyć. Ja zwłóczę trochę żerdzi, ale tak, aby nie przemęczać się. Pracę mamy płaconą dniówkowo, tak że można się poobijać. Dnie są słoneczne, ciche, śnieg taje do słońca i gdy znajdują się sama w lesie wśród tej głuszy, jest mi nawet dobrze. O godzinie 13-tej Sitek daje sygnał do powrotu i na czwartą jesteśmy w osiedlu. Polubiłam te dni. Tylko dojeżdżenie jest uciążliwe i nogi bolą od tych spacerów.

6.IV.

Praca na węglarce skończyła się, a ja postanowiłam wziąć urlop. Zaczynają się roztopy i chodzenie do jakiegokolwiek pracy jest koszmarem. Pożalenie o urlop składa się u komendanta NKWD. Przy okazji "obejrzałam" nowego komendanta. Wygląda, że jest bardziej ludaki od poprzedniego.

13.IV.

Aniśmy się oglądneli i drugą Wielkanoc obchodzimy na wygnaniu. Tak się złożyło, że dziś akurat jest "wychodny", możemy więc świętować, ale jutro normalnie do pracy.

17.IV.

Umarła Gawlikowa na czerwonkę. Cała rodzina wymarła. Najpierw babcia, potem jej syn, potem dwie wnuczki i w końcu córka. Co za okrutny los. Tylko sąsiedzi byli na pogrzebie. Jedna kajutka w baraku wolna.

29.IV.

Mamy zmartwienie; mama zgubiła kartki żywnościowe i pieniądze.

21.V.

Wywieziono do kolchozu kilka rodzin. Bardzo płakałam, bo odjechała Marysia Zwojewska. Odjechały też Wisia i Stefcia Markówny. Też ich bardzo lubiłam. Pozostawiły tu groby swoich rodziców. Janek, ich brat też tu pozostał, bo ożenił się z Rosjanką. Jest bardzo brzydka, lecz ma krowę. Nigdy bym nie pomyślała, że ten

miki i ładny chłopak tak uprości sobie życie. W taki sam sposób postąpił Karoluk, który ma w kraju żonę, najwidoczniej kochającą go, bo stale wysyła mu paczki, ale on wolał się tu wygodniej urządzić.

Wiosna bardzo wolno nadchodzi. Na Angarze pękają lody i na jakiś czas jesteśmy odcięci od świata. Nawet poczta nie dochodzi.

26.V.

Już drugi dzień pracuję na spławie. Wraz z innymi dziewczętami zrzucałam drzewo do rzeki. Robota nie jest zbyt ciężka i w gromadzie weselej.

28.V.

Wody gwałtownie wezbrały i zrywają tamy na kanałach. Taje śnieg i pada deszcz. Wczoraj w ciągu dnia wyciągałam drzewo z rzeki - okropna praca, a o 23-ciej wezwano nas znowu do pracy i całą noc przebyłam na tamie, którą umacniałyśmy, żeby jej nie zerwało. Cały czas woziliśmy ziemię taczkami w całkowitych ciemnościach i w strugach deszczu, przy wzburzonej rzece - istny koniec świata. Dziś w nocy też byłam na tamie i też było podobnie.

3.VI.

Robię teraz przy wyciąganiu drzewa z rzeki. Jest to ciężka i nieprzyjemna praca. Stoi się na brzegu z oską i wyciąga z wody przywające płaszki. Następnie, wyłowione drewno układa się w długie, wysokie na 3-4 metry stopy. Duzewo jest mokre, ciężkie, śliskie. Całe ubranie człowieka ma zalane wodą i błotem. A "buty" - jeśli to co się ma na nogach, można nazwać butami - są mokre jak szmata. Mimo dużego wysiłku, zarabiam grosze.

9.VI.

Moja kochana mamunia ciężko zachorowała i poszła do szpitala.

10.VI.

Drugie zmartwienie. Dostałam zawiadomienie, że mam jechać na sianokosy 40km od osiedla. Nie chcę jechać, nie pojedę! Nie mogę mamy zostawić!

16.VI.

Nie pojechałam na sianokosy. Udało mi się uprosić komendanta i ze względu na chorobę mamy - zostałam. Mama trochę lepiej się czuje, ale nadal jest bardzo słaba i wycieńczona. Od 11-go wrzucałam drzewo do rzeki w lesie, a od jutra mam spławiać, czyli "przewadzić" wrzucone do rzeki drzewo do osiedla. W zinnie dowozi się drzewo do elektrowni po lodziance, a w lecie drogę transportową spełnia rzeczka, której wody spiętrza się tamą.

Cała rzeczka aż gęsta od błota, a my z niej pijemy wodę.

17.VI.

Cała rodzina Ziemiaków zatruiła się grzybami. Wandzia, 12-letnia dziewczynka umarła. Chłopcy jakoś wygrzebali się, rodzice też, tylko biedna Wandzia. Nazbierali w lesie smardzów, mówią im, że mogą być trujące, żeby odlać przynajmniej pierwszą wodę, ale Ziemiakowa powiedziała, że się nie znam.

Na zapalenie płuc umarł Bogus Jarkowski - niły, ładny chłopak.

26.VI.

Jak grom spadła wiadomość, że rozpoczęła się wojna, że Niemcy uderzyli na Rosję.

27.VI.

Od razu w związku z rozpoczęciem wojny zaostrzyła się dyscyplina. Dotyczy to zarówno czasu pracy jak i wykonywania nórmy.

21.VII.

Spotkała mnie przykrość, tym boleśniejsza, że spowodowana przez rodaka, sąsiada z Monasterzyk - Czerwonogrodzkiego. Ostatnio pracowałam z brygadą dziewcząt przy wrzucaniu drzewa do rzeki, które następnie prowadziłyśmy do osiedla. Dowodziła nami Tereska Burgierowa. Brygada sgrana, dziewczyny do tańca i do rózańca, pracowało się z przyjemnością. Ale kilka dni temu brygadierem zrobili pana Czerwonogrodzkiego. Od razu zaczęło mu się coś nie podobać. Poczuli się władzą i zażądał, aby mnie usunięto z brygady, bo jestem za słaba i z tego powodu brygada rzekomo mniej wydajnie pracuje. Robota jest płatna rycażem, poza tym jest lekka i twierdzą, że ja absolutnie mniej nie wykonuję, niż inne dziewczęta nawet silniejsze. A on, zamiast pracować z nami, cały dzień przesy-pia. Z jego strony jest to podły rewanż za to, że na początku naszego pobytu na osiedlu Bogorodzkiem doktor Michalski mnie wybrał na sanitariuszkę, a nie jego żonę. Jutro mam się zgłosić na "rozkomandirowkę", pójdę do innej pracy, która na pewno będzie cięższa niż ta przy splawie. O wszystkim powiedział mi dziesiętnik Kiryłow. Z jego miny widziałam, że nie był zbudowany postępowaniem Czerwonogrodzkiego i był raczej po mojej stronie.

27.VII.

Mama wróciła ze szpitala i znów zachorowała i drugi raz poszła do szpitala. Nawet nie wiadomo, co jej jest.

31.VII

Mama jeszcze leży w szpitalu. Gorączki już nie ma, ale jest

bardzo osłabiona. Och, żeby już wróciła do domu, bo tak mi jej brak.

Czerwonogrodzki się cieszy, gdyż skierowano mnie do wyciągania drzewa z biota. Przychodzę do domu utyłana jak świnia.

Dlaczego ludzie są tacy źli?

2.VIII.

Niedziela, ale jaka smutna. Mama jest chora na tyfus i została przewieziona na oddział zakaźny do Južnojenisejska. W tamtym szpitalu jest doktor Michalski, mam nadzieję, że się mamą zaopiekuje.

5.VIII.

Uprosiłam jedną urzędniczkę w kantorze, że porozmawia telefonicznie ze szpitalem i dowie się o zdrowie mamy.

6.VIII.

Dziś sama rozmawiałam z doktorem Michalskim. Powiedział, że stan zdrowia polepszył się. Ale może mnie tylko pociesza? Ach, jak mi ciężko.

9.VIII.

Znowu rozmawiałam telefonicznie ze szpitalem. Z mamą znowu gorzej. Prosi, żebyśmy oboje z ojcem przyszli do niej.

Muszę wspomnieć, że my, Polacy, przesiedleńcy zostaliśmy ogłoszeni wolnymi. Nie wiem, jak to się stało, bo nie mogą dostać gazety, ale tak ludzie mówią.

11.VIII.

Byliśmy wczoraj z ojcem u mamy w Južnojenisejsku. Jest tak strasznie zmieniona, że nie mogłam uwierzyć, że to moja mama. Widziałam ją przez zamknięte okno. /Szpital, to długi, parterowy barak/.

Mama jest jakby nieprzytomna, coś od rzeczy mówi i błaga, aby ją stąd zabrać. Ale to jest niemożliwe. Opiekę ma dobrą. Doktora Michalskiego akurat nie było. Rozmawialiśmy z jakimś młodym lekarzem i z pielęgniarką; pocieszali nas, że mama przetrzyma. Wróciliśmy późnym wieczorem, strasznie zmęczeni, bo to jest 22 km w jedną stronę, i bardzo przygnębieni.

18.VIII.

Wczoraj znowu byłam u mamy. Tym razem sama, bez ojca, bo był bardzo zmęczony. Jestem przerażona jej stanem. Wygląda jeszcze gorzej i jeszcze bardziej bredzi. Nawet nie jej nie mogą podać do jedzenia, bo jest na ścisłej diecie.

Wracałam do domu płacząc po drodze i równocześnie drżąc ze strachu, bo było już ciemno, a cały czas idzie się lasem. Po drodze nie ma

ani jednego domu i ciarki po plecach przechodzą, gdy zaskrzypi jakieś drzewo, czy poderwie się ptak.

2.IX.

Znowu byłam u mamy na Centralnym. Chodzę w każdy wolny dzień. Ostatnio gorączka już minęła, ale mama jest tak strasznie osłabiona, że nie może usiąść o własnych siłach. Można jej już podać jakieś pożywienie. Pochodziłam po domach Rosjan i udało mi się kupić mleko i kilka jajek. Jakaś pielęgniarka obiecała jej podać. Idąc do szpitala wychodzę o godz. 5-tej rano i wracam późnym wieczorem, nieprzytomna ze zmęczenia, ale poszłabym na koniec świata, gdyby to przyniosło ulgę mojej matusi.

Pracuję teraz blisko osiedla. Z pracy biegnę zaraz po chleb i z garstkami popuję do stołówki. Później przychodzi ojciec,jemy obiad trochę posprzątamy i potem to paskudne łatanie łachów, które się tak okropnie zdzierają przy pracy.

Tato przynosi z lasu jakieś piękne grzyby, ale ja zupełnie nie wiem, co z nimi robić. Suszyć nie mogą, bo w kuchni wszędzie wiszą łachy i buty, a w nocy buszują hordy karaluchów. Marynować nie ma w czym, ani z czym, zresztą może my naprawdę stąd wyjedziemy?

8.IX.

Mama już jest w domu. Wygląda jak szkielet, ale wraca do zdrowia. Konieczne jest forsowne odżywianie, ale skąd wziąć i za co kupić?

20.IX.

Nasze uwolnienie narobiło niebывałego rozgardiaszu. Polacy chodzą jak w gorączce i na gwalt się gdzieś wybierają. Cały czas radzą i planują wyjazd. Kierownictwo osiedla udaje zupełną chętność, ale chyba im to nie w smak. Przecież tracą tanią siłą roboczą, którą można było poganiać jak bydłem. Inni przesiedleńcy jak Niemcy, Finowie, Zabajkałcy patrzą na nas z zazdrością. Wielu Rosjan będzie musiało zejść ze stanowisk kierowniczych i urzędniczych i wrócić do prac w lesie, czy na rzece.

My, ze względu na chorobę mamy nigdzie nie pojedziemy.

Rosjanie, którzy znają warunki życia na terenie ZSRR radzą nam nie ruszać się z miejsca do końca wojny. Odradzają nam szczególnie przeniesienie się do kołchozu. Np. listonoszka Wiszniakowa mówiła mi, że w kołchozie nie ma żadnych przydziałów odzieży, obuwia, tłuszczu, cukru. Ze po zbożu ludzie depeją, a głodem przywierają. Do kraju, mimo strasznej tęsknoty wrócić nie możemy.

1.X.

Część naszych wyruszyła w drogę. Niektórzy wyjechali zaraz po otrzymaniu dokumentów i nawet zdążyli już do nas napisać, lecz nie piszą, że jest im lepiej. Osiedlili się w kołchozie. Tylko Petela napisał: "Jeden czort wszędzie".

Moja matka jest już zdrowsza; ale za słaba, żeby chodzić nawet po pokoju.

Mimo, że jest bardzo zimno, robię przy wyciąganiu drzewa z rzeki. Jak marzną i jaka przychodzą upaprana błotem, to trudno opisać. Teraz kachy schną nad piecem, a ja siedzę, grzeję nogi w popielniku, piszę i obserwuję, jak karaluchy biegają po piecu.

Karaluchy i pluskwy to paszudna plaga wszystkich baraków, i tych brudnych, i tych czystych też. Są nie do wytępienia. Jeśli się u siebie wytępi, za parę dni przychodzą od innych. Tak samo z wszami. Można wszystko utrzymywać w czystości i nawet się ich pozbyć, ale wystarczy pójść w kolejkę, zaraz są.

17.X.

W sklepie sprzedają co dzień po trochu materiału. Od trzech dni zajmuję kolejkę i wreszcie udało mi się kupić kawałek kratonu i materiał na spodnie dla mnie i dla ojca. Jaka to radość.

22.X.

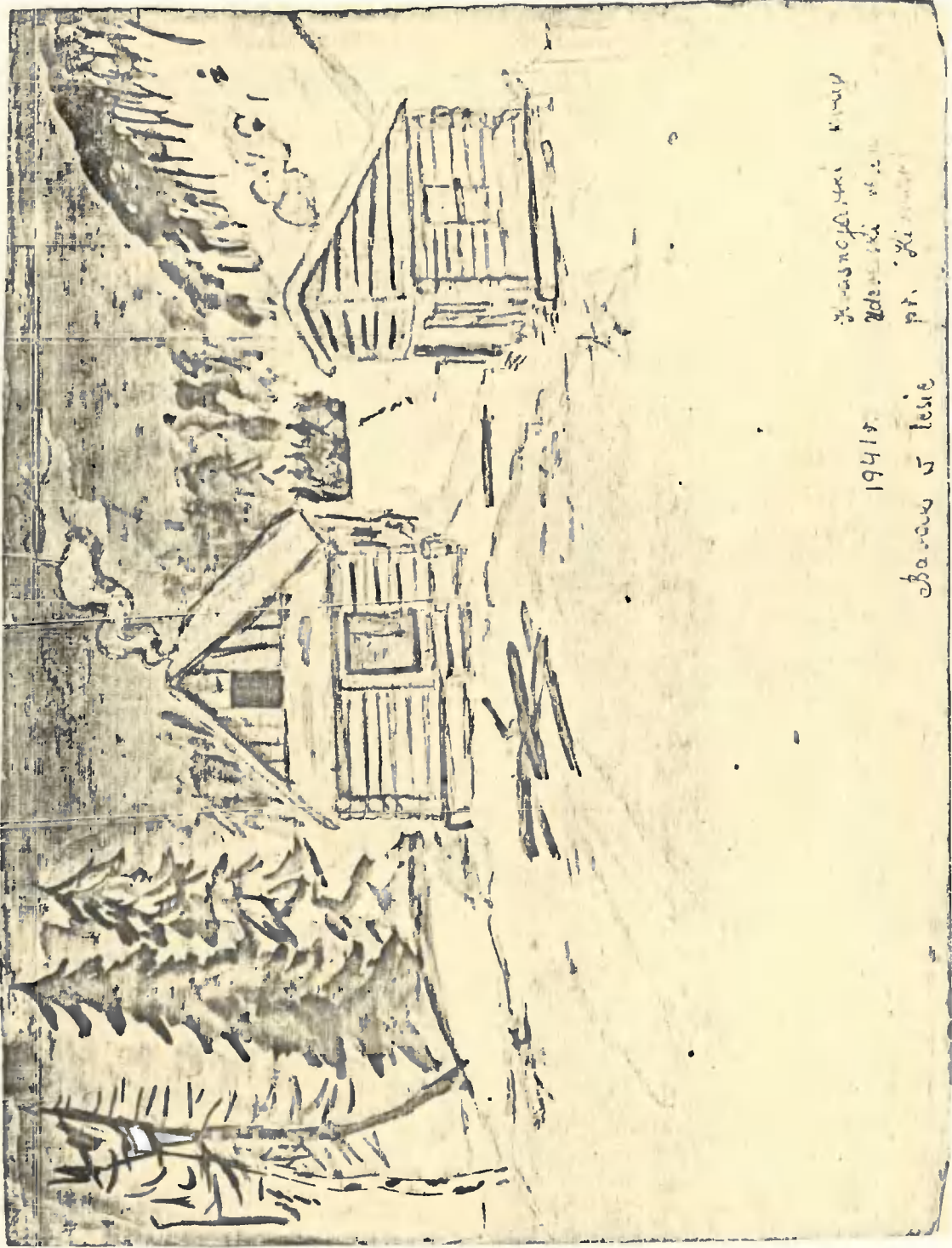
Ze względu na wojnę wstrzymana została norma masła i cukru. Pozostaje tylko chleb i kasza. My na szczęście mamy jeszcze trochę ziemniaków, które posadziliśmy na wiosnę ku zgorczeniu naszych rodaków. Brak masła i cukru jest najgorszy dla mamy; jest chuda i słaba jak cień. Uprosiłam jedną Rosjankę i sprzedaje mi co drugi dzień litr mleka.

W gazetach piszą, że na froncie nie wesoło. Czasem słucham radia u Wiszniewskiej. Niemcy prą na Moskwę i Lonbas.

Wszędzie jest prowadzona zbiórka ciepłej odzieży dla armii. Żadnie ta armia będzie wyglądać, gdy ubiorą ją w takie kachmany, jakie tu się nosi. Przecież tu nikt nie ma ani jednej sztuki odzieży całej i nowej.

27.X.

Kilka dni byłam na drażdże. Ładowałam drzewo do kotłowni. Jest to bardzo ciężka praca. Draga jest stale w ruchu, drzewo trzeba wrzucić z brzegu na ruchomy pomost, z pomostu pod drzwi kotłowni, a następnie znieść i ułożyć w kotłowni. Cały dzień się nosi przetraca ciężkie, grube bale. Wieczorem nie można się zgiąć ani wyprostować.



Krasnojarski kraj
Udierski rejon
pr. Kirowski

1941r.

barak w lesie

"Barak w lesie. Krasnojarski kraj, Udierski rejon, przyisk Kirowski. 1941r."

Ostatnio pracuję w lesie, ale nie przy wyrębie. Wraz z innymi dziewczętami znosimy drzewo z niedostępnych miejsc do łodzianki. Norma - 20m³ na dzień, za 1m³ - 40 kopiejek. Powiedzieli, że jeśli nam się nie podoba, to pójdziemy do wyrębu.

1.XII.

Teraz mamy lżejszą pracę, bo drzewo do łodzianki dowozimy sankami. Koniem do tych miejsc nie dojedzie, bo pełno jest wykrotów, więc same ciągniemy te sanki po różnych chaszczach i warte-pach. Sanki są dość duże i w dobrych warunkach można by na nie załadować 2m³ drzewa, ale teren jest nierówny i ładujemy trochę mniej. Dziewczyny w brygadzie są wesołe i miłe, mimo trudności śmiejemy się, śartujemy, śpiewamy. Ułożyłyśmy nawet piosenkę na melodię "czsatuszek":

Diewok mnogo, diewok mnogo,
diewok niakuda diewat'
Skoro koszadi podochnut,
Budiem diewok zapriegat'.

Przyjechała tu na wizytację jakaś komisja i myśmy zaśpiewały tę piosenkę. Wizytujący śmiali się i orzekli, że ładnie śpiewamy; tylko nasz dyrektor był zły. Potem w baraku wygłosił do nas przemówienie, wyjaśniając, że teren jest niedostępny, więc koni użyć nie można, a nam się żadna krzywda nie dzieje. Jeżeli będziemy śpiewały takie głupie piosenki, to nas posła do wyrębu.

Karolcię Brymskówną przejechały sanki z drzewem. Boli ją noga i mówi, że ma zwichniętą. Ponieważ mieszkamy w lesie w baraku, wieczorami wszystkie robimy jej masaże. Jest przy tym sporo śmiechu i w ogóle miłe są te wieczory.

16.XII.

Jakimś cudem dotarła na osiedle wiadomość, że Anders tworzy armię polską na terenie Związku Radzieckiego. W gazecie rosyjskiej czytałam, że generał Sikorski jest w Kujbyszewie i miał przemówienie przez radio. Ja przemówienia nie słyszałam, bo byłam w lesie, ale rodzice słyszeli. Zaprosiła ich do siebie Wicznikowa, nasza obecna sąsiadka. Mówili, że gdy usłyszeli polską mowę a potem hymn - płakali. Daję specjalnie przyszedłam z lasu na noc do domu, aby przeczytać gazetę z tekstem przemówienia, ale akurat nie przywieźli poczty.

Po wyjeździe części Polaków do kołchozów, w barakach rozluźniło się. Przenieśliśmy się do innego baraku, gdzie są duże izby.



"Fryisk im. Kirowa, Udierijskogo rejonu,
Krasnojarskogo kraju"



"Listonoszka Wiszniakowa"
"Ka dolguju, dobruju pamiat'...."

Naszą sąsiadką jest Rosjanka Wiszniakowa. Pracuje na poczcie, ma radio, męża pijaka i psa Sargę.

31.XII.

"Opieka" NKWD w stosunku do nas znacznie zelżała. Mimo, że warunki materialne stale się pogarszają, czujemy się lepiej. Pozwolono nam nawet zebrać się razem na wspólny opłatek. Ze wspólnych składek kobiety ugotowały barszcz z uszkami, a opłatek symbolizowały cieniutkie kromeczki czarnego chleba. Popłakaliśmy się wszyscy myśląc o naszej Ojczyźnie, w której panoszą się Niemcy i o naszych krawnych i znajomych, którzy pozostali tam, w kraju i nie wiadomo, czy ich los jest lepszy, niż nasz. Było smutno, ale była już nadzieja wolności. Nie byliśmy już więźniami.

Ktoś zanucił ułożoną tu na Syberii już wcześniej piosenkę:

"... Jesteśmy sami, straż nas zostawiła,
Bo i co będzie koło nas robiła,
Świat nam zamknęły te szumiące drzewa,
Nawet ptaszyna nam tu nie zaśpiewa ..."

Oczywiście śpiewaliśmy nasze polskie kolędy i n[ach]wilę zapomniało się o wyrębie, o dradze, o łodziance, o wozach i karaluchach. Kilka osób ma piękne głosy, moja mama też. Z zapartym tchem słuchałam, jak śpiewali Michał Szpak i jego siostra Julka.

9.II. 1942r.

Jak poprzedniej zimy, tak i teraz pracuję w lesie przy wyrębie z Bronią Kabatową. Mimo wszystko nabyliśmy praktyki. W ubiegłym roku we dwie stawialiśmy $3m^3$ drzewa dziennie, obecnie robimy $6m^3$. Do wykonania normy jeszcze nam bardzo daleko i nieraz płaczemy w trudnych sytuacjach, na przykład, gdy drzewo nie chce zlecieć, albo kłoc zatnie piłę, ale na ogół lepiej nam to idzie. Szurka Takmakow jest znowu dziesiętnikiem i nieraz nam pomaga. Przychodzą czasem i inni dziesiętnicy, ale oni gorzej boją się drzew niż my. Tej zimy już nawet nie zawiązują nosa chustką i nie odmrażają policzków.

15.II.

Normę chleba zmniejszono do 80 dkg dla pracujących i do 40 dkg dla członków rodzin. W stołówce gotują tylko cieniutki kapuśniak "szeci" i zupę ogórkową. Sytuację ratują tylko ryby.

13-ий завод

Пролетарии всех стран, соединяйтесь!

УТВЕРЖДЕНО

Сов. нар. ком. Союза ССР
20/VI 1934 г.

РАСЧЕТНАЯ КНИЖКА № 153

Фамилия Цыбера Фомы ^{Борисовна}

Имя, отчество Петровна

Наименование предприятия И. З. Б. У.
Завод Кировский

Адрес предприятия Красноярский пр.
Кировский пр. Кировск

Дата поступления 10/IV 30г.

Цех, отдел и т. п. Жел. Цех

Должность _____

Специальность _____

Общий стаж работы 6 лет 2 мес.

Pierwsza strona książeczki
rozliczeniowej

1.III.

Doszła do nas wiadomość, że tu w ZSRR powstała organizacja polska i wszystkie grupy Polaków mają wybrać swoich delegatów. U nas wybrano Sierocińskiego. Nie bardzo wiedzą ludzie, co myśleć o tej organizacji, ale może ona nam pomoże wrócić do kraju?

7.III.

Po długich namysłach wszyscy postanowili wyjechać stąd w rejonny położone bardziej na zachód lub na południe, do kolchozów. Każdy ma nadzieję, że jeżeli będzie pracować przy płodach rolnych, nie będzie cierpieć głodu. I poza tym będziemy bliżej kraju. Wprawdzie Wiszniakowa twierdzi, że wcale nie jest tak, że w kolchozach jest większy głód, niż tutaj, że sama była w kolchozie i wie, ale ludzie nie wierzą.

Sierociński pojechał do Krasnojarska, żeby się coś dowiedzieć. My z ojcem zastanawiamy się, czy jechać, mama jest za tym. Ale mama jest jeszcze bardzo słaba po tyfucie, a tu zima i mrozy.

Parę dni temu przyszedł do nas dyrektor przedsiębiorstwa Kaszczniakow na pogawędkę. Namawiał, abyśmy pozostali, abyśmy nie wyjeżdżali do kolchozu, że tam wcale nie jest lepiej. Zależał mu, aby pozostał ojciec, gdyż jest świetnym cieślą. Ja też dowiedziałam się, że jestem dobrym robotnikiem i że chciałby mnie przenieść do pracy w elektrowni. Obiecał, że gdy zakończy się wojna, ułatwi nam powrót do Polski. Lecz my boimy się sami tu pozostać. Wszyscy Polacy wyjeżdżają.

20.III.

Sierociński wrócił z Krasnojarska. Nie mówił zbyt jasno, czego się dowiedział, tylko zakomunikował, że uzyskał zezwolenie na wyjazd całej grupy.

My ciągle się wahamy, ale dochodzimy do wniosku, że lepiej trzymać się gromady. Powoli przygotowujemy się do podróży.

21.III.

Dziś około 16-tej wyjechała pierwsza grupa naszych rodaków i mama bez namysłu pojechała z nimi na osiedle "Centralne". Chciała zobaczyć się z doktorem Michalskim i jeszcze przed wyjazdem zasięgnąć jego rady. Pojechała lekko ubrana i może się przeziębici. Na domiar złego zabrakło z sobą przez zapomnienie wszystkie kartki żywnościowe a że dwa dni jej nie będzie, bo nie wiadomo, czy będzie miała czym wrócić.

24.III.1942

Jednak wyjechaliśmy. Jedziemy tą samą drogą, którą przyje-

chaliśmy. Jesteśmy w Petropawłowsku i tu w "zimowli" będziemy nocować.

25.III.

Dalej jedziemy tą samą drogą, co dwa lata temu, w marcu 1940r. W tej chwili oczekujemy w Matygienie na zmianę san. Drogi w dzień już się psują, śnieg topnieje, ale Angara jeszcze zamrznięta. Spotkaliśmy sąsiadów, którzy byli na innym osiedlu. Poza tym zimno, brudno, duszno i głodno. Jemy suchy chleb, kaszę i pijemy gorącą wodę.

10.IV.

Wypadki szybko się potoczyły. Minęło kilka tygodni od naszego wyjazdu. Mój pamiętnik piszę teraz daleko od osiedla Kirowskiego. Piszę, siedząc na podwórzu domu noclegowego, na jakiejś kłodzie drzewa. Piszę, bo chcę odmalować, o ile mi się to uda, okropności przebytej podróży oraz miejsce, w którym się obecnie znajdujemy. Jesteśmy w mieście, które nazywa się Abakan i jest położone w południowej części Krasnojarskiego Kraju. Przejechaliśmy setki kilometrów, ale nadal znajdujemy się w granicach tego samego rejonu administracyjnego.

Jaka była nasza podróż? Najpierw saniami do Kańska do stacji kolejowej. Dwadzieścia kilka noclegów na brudnych podłogach w różnych "zimowlach" i "klubach". Potem oczekiwanie w Kańsku na pociąg. Jazda pociągiem z Kańska do Aczyńska. Pociąg nie ogrzewany, zabity ludźmi, tłumem koczowników z tobołkami i czajnikami. Siedzenie i spanie na podłodze. Potem całą dobę oczekiwanie w Aczyńsku na połączenie do Abakanu. Zimno, duszno, brudno, tłum włóczęgów i rzemieślników na stacji. Tutaj skradziono nam jeden pakiet, w którym było wiadro kartofli, koldra i trochę odzieży.

Dalej, dwudniowa podróż pociągiem z Aczyńska do Abakanu, na zabłoconej, zaplutej podłodze, w wagonie zabezpieczonym do granic przez brudny, obdarty tłum. No i wreszcie miasto Abakan, stolica dużego, autonomicznego rejonu Chakasji.

Nie wiem, jak wygląda miasto, bo nie mogę stąd odejść, gdyż nie wiadomo, kiedy przyjadą podwozy z kolchozu. Ale sam dom noclegowy wart jest opisu; boję się tylko, że braknie mi słów, aby właściwie przedstawić tę jaskinię brudu fizycznego i moralnego. Od ulicy odgradza go wysoki płot z desek. Przez dyżurkę wchodzi się na obszerne, zaśmiecone podwórze. Sam "hotel" to niskie, obdarte baraczysko; w środku trzy niskie izby z małymi okienkami. Pod sufitem, niczym nie osłonięte, słabe żarówki. Ściany dawno, albo nigdy nie bielone. Umieszczenie - stół i kilka łóżek pokrytych nie-

określonymi łachmanami. Gnieżdżą się na nich jakieś bandziory, chyba stali ~~krzakcy~~ "lokatorzy". Miejsca pod łóškami i pod stołem też się liczą i są zajęte. Jakies typy grają w karty, ktoś się tam ściska na łóšku, ktoś rzępoli na harmonijce, ktoś klnie plugawo - brudne wnętrze, brudna miłość. Na polu zimno, mróz, ale tam, do środka nie sposób wejść. Zgiełk, kłótnie i powietrze tak obrzydliwe, że aż dławi. Już drugi dzień tak cackamy.

26.IV.

To długich oczekiwaniach w opisanym wyżej piekle, wreszcie przyjechały furmanki i pożegnaliśmy Abakan. Teraz już piąty dzień jesteśmy na miejscu. To wybrane miejsce, do którego przybyliśmy dobrowolnie, nazywa się "Czeptych Chonych", co w języku chakas-kim oznacza: "Szczęśliwe Życie". Opłakany wygląd przedstawia to szczęśliwe życie, a już my na pewno szczęśliwego życia mieć tu nie będziemy.

Na początku spotkała nas niemiła niespodzianka: kołchoz wcale nie zatroszczył się o zakwaterowanie, choć kierownik kołchozu zabiegał o skierowanie właśnie na jego teren przynajmniej 20 rodzin. Sami musieliśmy szukać sobie mieszkań u miejscowej ludności. Chodziliśmy po prostu od chałupy do chałupy, a właściwie od ziemianki do ziemianki z prośbą o przyjęcie. Wreszcie jedna Rosjanka nas przyjęła. Nazywa się Gusiowa Wiera i jest dojarką w kołchozie. Ma dwoje małych dzieci, mąż jej jest na wojnie.

A teraz, jak wygląda "Szczęśliwe Życie" na pierwszy rzut oka: Większość domów, to ziemianki, wkopane w ziemię nory, pokryte darnią, porośnięte zielskiem, z małutkimi, na jedną szybką okienkami. W całej wiosce są tylko trzy domy drewniane, lecz stare, dawno nie poprawiane, dachy mają w kiepskim stanie, spod pokrycia wystają krokwie. Widoku dopełniają rozwalone płoty, kupy śmieci i słomy. Niektóre domy są zbudowane z gliny. Okazuje się, że mogą przetrwać, bo tu prawie wcale nie padają deszcze.

Jeden z drewnianych domów zajmuje zarząd kołchozu i "siel-sowiet" - rada osiedlowa. Nie daleko od km osiedla znajdują się farmy hodowlane, tj. stajnie dla krów, świni, owiec, koni, kur. Trudno sobie wyobrazić gorsze niechlujstwo i nędzę.

Kołchoz położony jest na płaskiej równinie zupełnie pozbawionej drzew. Na widnokręgu, jak na krawędzi misy, widać góry. Jak mi powiedzieli, są to Sajany i Altaj.

Choć jest już kwiecień, pola są szare i jakieś martwe. Czimir tu się nie sieje, a pod zbożem jare dopiero orzą. Bezkrzesne stepy, które się dookoła rozpościerają, też są szare. Dnie też są szare,

pochmurne, zimne. Wiatry przewiewają do szpiku kości.

30.IV.

Zastaliśmy tu cztery rodziny polskie, przywiezione w drugim wywozie, który nastąpił w 1942 roku. Pochodzą z powiatu lidzkiego i mówią z śpiewnym białoruskim akcentem. Są to ludzie kulturalni i z pewnym wykształceniem. Jest też kilka rodzin niemieckich, dwie koreańskie, jedna japońska. Rosjan mało tu mieszka. Większość stanowią Tatarzy i Chakaśi.

Otrzymaliśmy przydział pracy. Tato będzie cieślą, ja mam być rachmistrzem w brygadzie polowej, mama nie~~ć~~ będzie pracowała, pozostanie w domu i będzie pilnować dzieci naszej gospodyni. Przy okazji rozdziału do pracy poznałam ludzi rządzących kolchozem. Przedsiębiorca - Tatarzyn; mały, gruby, kulawy, twarz szeroka, śniada, nos haczykowaty, czarne złośliwe oczka, złośliwy uśmiezek, schrypnięty głos. Nazywa się Ibragimow. Sekretarzem partii jest kobieta - Nienka, Anna Grininajer; wysoka, blade, szczupła i smutna. Główna księgowa - Nina Antonowna; sucha, jak szczapa, ciemno-skóra Mongołka. Jej oczy błyszczą, jakby miała gorączkę. Na wyżywienie dostaliśmy po dwa kilo ziemniaków i po 5 kg maki.

Jutro mam jechać na brygadę. O różnych sprawach i o warunkach pracy opowiadał mi Felek Waszkiewicz, który już tu jest dłużej i akurat był w osiedlu. Naopowiadał mi tak dużo o przyszłych trudnościach, że strasznie się~~ć~~ boję, ale obiecał, że przyjedzie i mnie trochę poduczy.

4.XII.1942r.

Dużo czasu minęło od dnia, kiedy miałam w rękach ten pamiątnik. Dużo przeżyłam przez ten czas. Żyłam w takich koczowniczych warunkach, czas miałam tak wypełniony pracą od wczesnego ranka do późnej nocy, żadnej niedzieli, żadnych świąt, że nie mogłam myśleć nawet o pisaniu. Może uda mi się streścić pokrótce przebieg ~~XXXXXXXXXX~~ tego roku.

Po naszym przyjeździe do kolchozu w kwietniu "przedsiębiorca kolchoza" postanowił, że będę rachmistrzem w 1-szej polowej brygadzie. O moim przydziale zdecydowało to, że umiałam mówić i czytać po rosyjsku i że miałam jakieś wykształcenie.

Z "chlebowozem" Homidam Ibragimowem pojechałam na tę pierwszą brygadę. Oddalona jest od kolchozu o dwie godziny drogi furmanką, tj. ponad 20 km po pustym, równym stepie. Po drodze przejeżdża się tylko przez rzeczkę, a poza tym nic dookoła nie widać oprócz



Kotchoz "Gzertych-Chonych" Chakaski

Kotchoz "Gzertych-Chonych". Chakaski

kurhanów. "Pierwsza brygada" to 300 ha ziemi ornej, podługą na kwadraty siecią kanałów nawadniających.

Ci, którzy tu pracują, mieszkają w dwóch drewnianych domkach, naturalnie bez dachów. Trzeci budynek to spichlerz - dzianawy, jak sito. Jest jeszcze okrągła jurta, w której jest kuchnia i tu spożywa się też posiłki. Każdy normalny człowiek z któregośkolwiek cywilizowanego kraju byłby przerażony warunkami, w jakich tu ciężko pracujący ludzie mieszkają i żyją.

Pierwsza chałupa od drogi to mieszkanie dla robotników. W dwu izbach mieści się ok. 80 ludzi. Piętrowe prycze, słomiane berłogi bez pościeli. Śpią tu pokotem młodzi i starzy, kobiety i mężczyźni. W każdej izbie jest małe okienko, stół, jeden stołek i prycze. Do oświetlenia izby wieczorem służy "kopciówka" - butelka z benzyną i knotkiem.

Ja, z racji "urzędu" mieszkałam w drugim domku i miałam "luksusowe" warunki. Nie było tu piętrowych prycz, tylko po dwie spakowane na łózkach i miałymy sienniki. Mieszkałam z szczęśliwymi innymi kobietami. Czasem pozostawałyśmy tylko we trzy, bo pozostałe dojeżdżały tu tylko do pomocy w okresie największego spiętrzenia prac.

Brygadierem był wówczas Chakas Ivan Iwanowicz Dobrow, człowiek około 40-letni, średniego wzrostu, o typowo azjatyckiej urodzie. Dobry organizator, mądry, umiejący pracować z ludźmi. Niestety był ciężko chory na płuca i były dni, że ^{nie} był zdolny nawet wyjść w pole. Wtedy niestety ja musiałam przejmować jego obowiązki.

Gdy przyszedłam na brygadę, nie miałam pojęcia, co będę robić. Umiałam wprawdzie mówić i czytać po rosyjsku, bo poduczyłałam się w tajdze, nie miałam jednak pojęcia o rachunkowości kolchozowej. Dobrow od początku dużo mi pomógł. Dokładnie wytłumaczył, co mam robić, jakie wykazy, zestawienia, pomiary. Oprowadził mnie po polach, pokazał, co się uprawia, zapoznał mnie z rachmistrzami i z robotnikami. W krótkim czasie nauczyłam się mierzyć powierzchnie, wykonanych prac, obliczać "trudodni" czyli dniówki, sporządzać raporty.

Jako rachmistrz dostałam szańce do mierzenia, kawałek stołu i konia z siodłem. Szczęście, że w monasterzyskach jeździłam konno. Konia dla mnie przyprowadzili prosto ze stepu, był dziki i nigdy nie chodził pod siodłem. Widziałam, jak go ujeżdżali. Najpierw dosiadł go młody Chakas i koń jak szalony wierzgał, skakał, stawał dębe, a potem nosił go daleko po stepie usiłując zrzucić. Po pewnym czasie osłabł i zaczął być posłuszny. Tak było przez kilka dni z rządu. Iżniej zaprzęgnięto go do bryczki, które tu mają inny kształt

nię u nas w Polsce, dostosowany do jazdy po bezdrożach. Znowu były duże skoki i szalona jazda po stepie, dziw, że nie rozleciała się ta bryczka. Po pewnym czasie koni spokojniak. Przez pewien czas jeździł na nim jeszcze Dobrow, a za miesiąc koni był miły i łagodny jak baranek, a jaki posłuszny! Był tak wytresowany, że mogłam go zostawić samego, daleko, a on przychodził na zawołanie. Trochę był za wysoki, tak że miałam trudności z wsiadaniem, ale jakoś sobie radziłam. Ze względu na ogromne przestrzenie, nie mogłabym w żaden sposób obejść się bez konia.

Przy uprawach pracowało kilkadziesiąt osób, w zależności od sezonu, więcej do 150. Pracowali indywidualnie lub zespołowo. Ale cóż to byli za robotnicy, pożałujcie Bóg! Było tylko kilkorob dorosłych; mężczyźni - same kaleki, którzy nie zostali zmobilizowani do wojska; większość stanowiły kobiety, około połowa to były dzieci w wieku 12 - 14 lat. Dziewczynki pracowały przy obróbce buraków, chłopcy orali, bronowali, coś przewozili. Z takimi robotnikami to był Krzyś Pański. Poza tym narządzie pracy - ruina, nikt ich nie ostrzył, nie naprawiał. Uprząż - w strzępach. Taki 13-letni chłopak wyjeżdża w pole parą koni zaprzęgniętych do kultywatora; konie szarpiają się, płaczą, uprzęż się rozlatuje, chłopak płacze jak dziecko i klęka jak dorosły. Przysyłali do pracy też więźniów oraz żołnierzy rekonwalescentów. Było parę traktorów i kombajnów do zbioru pszenicy. Ziemia nie była wcale nawożona, zbiory były lichy, ale biorąc pod uwagę bardzo niedbałą pracę i brak narzędzi, i tak ta ziemia dawała więcej niż należało.

Na brygadzie mieszkalam od kwietnia do października. Do rodziców wpadałam tylko po czystą bieliznę, lub przynosiła mi ją mama. Rodzice oboje mieszkali w kołchozie. Początkowo u Wisery Gusiowej, później u Chakaaski Moti Kiszkiejowej. Tato wykonywał różne roboty, był majtrem do wszystkich napraw, jak zwykle jego złote ręce wszędzie były potrzebne /z zapłatą było gorzej/. Czasami orał lub woził coś wołami. Bardzo to jest dobra praca, kojąca dźwięka na nerwy; wołu, żółwia i ślimaka nie pogoni, aby szły szybciej, więc trzeba się do nich dostosować. Mama wykonywała różne domowe prace i uprawiała grządki, dzięki czemu mieliśmy co jeść. Sprawdziły się bowiem ostrzeżenia ludzi z osiedla Kirowskiego, z tajgi, zwłaszcza listonoszki Wisznikowej, że przy zbożu będziemy robić i głodem będziemy przynierać. Tak było. Z pola nie wolno było zebrać nic do jedzenia, nawet kłosów ze ścierniska po żęciu zboża, nawet pozostałych po kom-



"Chakaska w stroju narodowym"

13.IX.45r.

bajnie ziemniaków. Straty przy zbiorach były ogromne. Część pszenicy była zbierana kombajnem, młócona na pniu i od razu samochodem przewożona do elewatora. Większość zbiorów koszona była ręcznie i konnymi kosiarkami, wiązanie i składanie odbywało się wyłącznie ręcznie, a na błąskach pod gółym niebem odbywała się młocka. Na ścierniskach pozostawało bardzo dużo kłosów, a drogi dojazdowe zasypane były ziarnem przemieszanym z piaskiem.

W pierwszej kolejności zsypano zaplanowaną ilość do spichlerza z przeznaczeniem na przyszłoroczne siewy. Potem ogromna ilość została przewieziona do elewatorów znajdujących się w Abakanie. Na wyżywienie kołchozu pozostawały wywiewki spod kombajnu i jakieś znikome ilości. Pracownicy brygad i kołchozów dostawali codziennie zupę i porcję chleba, poza tym nic - ani grosza, ani odzieży ani obuwia. Jako wynagrodzenie dawali też kilka kg ziarna i ziemniaków, które można było uprawiać dla siebie.

Całą wiosnę i lato miałam ręce pełne roboty. Najpierw były siewy włośenne, a więc orka, kułtywowanie, bronowanie, siew pszenicy, owsa, buraków, sadzenie kartofli. Jeszcze nie skończyło się sadzenie, już zaczynała się obróbka buraków, potem ziemniaków, nawadnianie pól, czyszczenie kanałów, kopanie nowych. Ani się obejrzałam - zaczęły się żniwa. Koszenie, młocka, odstawianie zboża do elewatora, sznury furmanek ciągnących do miasta, kupy zboża na tokach, drogi zasypane ziarnem, upał, kurz i ciężka praca. To żniwach orka i ciągle obróbka buraków aż do jesieni. Ledwie skończyła się młocka, już trzeba było kopać buraki, ogławiać i odstawiać na rampę. Roboty wlokły się, opóźniały i zazębiały, ponieważ brak było rąk do pracy, narzędzi, a obszary zajęte pod uprawę - ogromne.

Jak wyglądał mój dzień pracy? Zwykle wstawałam równo ze słońcem. Była to ogólna pobudka dla wszystkich. Szybkie umycie się pod studnią, kubek wody z mlekiem i kromka chleba na śniadanie i do pracy. Poranna czynność to pomoc brygadierowi w rozdziale pracy wg ustalonego poprzedniego dnia planu. Gdy ludzie wyjechali i wyszli w pole, kontrolowałam część robót. Po powrocie brałam się do "papierkowej" roboty. Od godziny 12-tej do 14-tej była przerwa obiadowa. Dla mnie były to godziny załatwiania wszelkich interwencji; robotnicy sprawdzali swoje dniówki i zarobki wpisane do książeczek rozrachunkowych. Wyruszałam w pole ponownie o 15-tej na obmiar wykonanej pracy. Trzeba było bardzo się spieszyć, żeby zdążyć obmierzyć wszystkie roboty. Noc zactawała

nie w polu. Po powrocie szybko obliczałam powierzchnie, robiłam meldunek o wykonanych robotach i specjalny konny posłaniec wiozł go do przedsiębiorcy do kołchozu. Potem zjadłam jakąś supę na kolację i dalej odrabiałam moją robotę do późnej nocy.

Gdy kładłam się na przodę, zasypiałam kamiennym snem i wcale nie czułam, że jest twarda. Niedziela czy wypoczynek był wtedy, gdy padał deszcz, tj. bardzo rzadko.

Moje współlokatorki też miały swoje zadania. Nadia - młoda dziewczyna - sprawowała nadzór techniczny nad systemem kanałów nawadniających. Pomagała jej w tym brygadierka Szura /Aleksandra/. Anna sprawowała nadzór nad uprawą buraków cukrowych. Była jeszcze Szurka - młoda nauczycielka, która miała prowadzić pracę kulturalno - oświatową wśród młodzieży. O ile trzy pierwsze dziewczyny były zawsze bardzo zapracowane, ta ostatnia nie miała właściwie nic do roboty, bo po prostu nie było czasu na organizowanie jakiegokolwiek oświaty a tym bardziej rozrywek. Czasem tylko z wieczora ktoś zagrał na balalajkę, a młodzież poskakowała na podwórzu, czy pośpiewała czastuszki.

W okresie wakacji przybywało do pracy więcej dzieci oraz jeszcze dwie nauczycielki, Anna Iwanowna - sympatyczna gruboszka i Maria Grünimayer - Niemka przesiedlona z Powoźnia. Obie te panie były bardzo miłe i uprzejme. Siostra Marusi - Anna Grünimayer była sekretarzem partii i przyjeżdżała często na wizytacje. Przyjeżdżał też sam przedsiębiorca Ibragimow. Dla mnie był on uosobieniem diabła. Dla każdego miał tylko szyderstwa i ordynarne słowa. Gdzie się obrócił, zaraz ktoś płakał, nie wyłączając pierwszego sekretarza - Anny. On tylko śmiał się swoim diabelskim śmiechem.

W okresie szczególnie ważnych robót, np. siewy oraz zbiory, przyjeżdżał na brygadę pełnomocnik partii z Abakanu - taki ciemajdowaty staruszek. Chodził jak cień za brygadierem i bez przerwy o wszystko pytał. Żadnej pomocy z niego nie było a tylko przeszkadzał. Aby się go pozbyć, Dobrow wsadzał go na konia na oklep i prosił, aby nadzobrował jakąś robotę. Po takiej jeździe śniadek nie mógł ze dwa dni chodzić, kładł się więc pod stertą i odpoczywał i był spokojny. Zakwaterowano go w dużej izbie, gdzie śmierć była straszna i ciasnota, więc nie mógł spać. Tym prędzej się wynosił z brygady. Raz pojechał do kołchozu z chlebowozem i miał potem wrócić. Przedsiębiorca, chcąc się zabawić jego kosztem, wspaniał odprawił go na brygadę na swoim ogierze wierzchem. Ogier był ogromny, narowisty i jeździł prawie wyłącznie zaprzężony do bryczki. Nie wiem, jakim sposobem pełnomocnik wsiadł na tego konia i jechał

parę kilometrów, ale potem ogier go zrzucił i pobiegł z powrotem do kółchozu, a dziadek na brygadę przyszedł pieszko.

Szczególnym urozmaiceniem naszego życia były odprawy. Odbywały się w kółchozie, trzeba było więc tam dojechać. Z rozkazu przedsiębiorcy, aby nie zakłócać toku codziennej pracy, odbywały się w nocy. Po zakończeniu pracy wsiadaliśmy do bryczki - Dobrow, brygadziśka od buraków, brygadziśka od nawadniania ortez ja - i jechaliśmy do kółchozu.

Taka odprawa zaczynała się o godz. 21-szej i trwała całą noc. Po kolei, wszyscy brygadziści /1-sza, druga, traktorowa, hodowlana, uprawowa/ zdawali sprawozdania z wykonanych robót. Cóż to za męczarnia przetrzymać taką noc! Dobrow ze względu na stan zdrowia kładł się gdzieś w kącie i zasypiał, a ja miałam polecenie zbudzić go, gdy należało złożyć sprawozdanie. Po zakończeniu narady, już o świcie wpadałam na chwilę do rodziców, zjadałam coś smacznego i jazda z powrotem.

Mama na początku się ^omnie bardzo martwiła, ale później pogodziła się z takim układem.

Raz Dobrow był chory i nie mógł jechać na naradę. Pojechaliśmy same baby. Oczywiście zabłądziłyśmy w stepie. Jechaliśmy całą noc, w końcu do rana przesiadaliśmy koło jakiegoś kurhanu. Miewyspane i zmęczone dotarłyśmy na brygadę przed południem.

Wśród stepów, które rozciągają się nad rzeką Abakan, u podnóża gór Sajana spotyka się jakieś prehistoryczne kurhany. Zazwyczaj jest jeden ~~xxxxxxxx~~ większy i kilka mniejszych w grupie. Każdy kurhan jest ograniczony kilkoma głazami z czerwonego piaskowca ustawionymi na sztorc. W najbliższej okolicy nie ma żadnych kamieniobłomów, czyli te głazy zostały przetransportowane z gór widocznych na horyzoncie, ale to jest znaczna odległość i góry od stepu oddziela duża rzeka. Miejscowi mieszkańcy, ani Chakasi, ani Tatarzy nie wiedzą, kto sypał te kurhany, czy są to mogiły i kto w nich spoczywa.

Wszystkie roboty polowe zostały z grubsza zakończone w drugiej połowie października. Ziemia już dawno zamarła i jest przypięta śniegiem, którego nie ma dużo.

Straszliwie marzę na mojej przyczy, bo nie było czym palić.

Wreszcie postanowiono, że jestem na brygadzie niepotrzebna; wróciłam więc do kółchozu i kilka dni siedziałam bezczynnie w domu.

Rodzice mieszkałi teraz w dozorcówce w szkole. Mama zawarła znajomość z nauczycielkami i została zaangażowana na dozorczynię.

W porównaniu z poprzednikami, mieszkanie to było bardzo dobre, a na



"Kurhany w stepie. VIII.45."

dołatek mama zarabiała pieniądze i 7 kg ziarna. Tato nawet skonstruował coś w rodzaju tarki, którą my i inni tarliśmy ziarno na grubą mąkę. Mama dorabiała robieniem swetrów i szyciem, a właściwie przerabianiem, bo materiałów nie było, a tato wazelkami naprawami. Dzięki pracy rodziców było co jeść. Gdy pracowałam na brygadzie, dostawałam porcję chleba i zupę; gdy skończyła się praca w polu - nie dostawałam nic. Zresztą nie tylko ja, miejscowa ludność była traktowana tak samo.

25.XI.1942

Po powrocie do kolchozu, kilka dni nie pracowałam, potem trochę pomagałam księgowej w kantorze, a teraz mają mnie wysłać z grupą innych ludzi do kolchozu Biały Jar.

26.XII.1942

24.XII. tj. w dzień wigilii wróciłam z Białego Jaru.

Nasza grupa składała się z 13 osób: dwie Rosjanki, ~~Stery~~ Chakaski, jeden Koreańczyk, jeden Japończyk i pięcioro Polaków; Hela Skierówna, pani Zygisowa z dwoma chłopcami i ja. Kolchoz Biały Jar znajduje się po drugiej stronie rzeki Abakan. Do zarządu odwiedziły nas podwozy z naszego kolchozu, a dalej w pola szanie z Białego Jaru. Rzekomo ten kolchoz ma najlepsze wyniki gospodarowania. Sama wieś jest rzeczywiście ładniejsza i bogatsza od Czeptych-Chonych, ale nie o tym chcę pisać.

My jechaliśmy i jechaliśmy, a raczej więcej szliśmy pieszo przez zaśnieżone pagórki do wyznaczonego miejsca pracy. Mroz był na pewno ponad 20 stopni i wiał ostry wiatr. Byliśmy głodni, zmarznięci, policzki paliły nas od wiatru. Przed nocą dotarliśmy na miejsce. Jakieś marne baraczkę, podezYTE wiatrem, zasypane śniegiem - to były kwatery. My z Helą dostaliśmy przyce niedaleko pieca w stółce. Zsunęłyśmy je razem, przyniosłyśmy ze stogu słomy, władowałyśmy ją do worków, z posiadanych zachmanów zrobiliśmy legowisko i nawet dało się wytrzymać. Ale inni, dalej od pieca marzli strasznie. Do jedzenia dawali nawet biały chleb, mleko, lub wodę z mlekiem i zupę ziemniaczaną.

Do pracy wstawano się o 5³⁰, śniadanie i ruszaliśmy do jakiegoś stogu, do obsługi młocarni. Młóciło się pszenicę, owies, proso. Obiady przywozili nam na miejsce. Zakopane w słomie ogrzewaliśmy sgrabiakie dłonie od ciepłej strawy. Zwykle była to jakaś zupa z mięsem i chlebem i kasza. Trzeba przyznać, że jedzenie było

lepsze niż w naszym dziadówskim Kokochozie.

Ale praca nie była lekka. Najgorzsze, że maszyna często się pauza. Gdy młocarnia była w ruchu, trzeba się było strasznie uwijać, żeby nadażyć na wyznaczonym stanowisku. Człowiek agrzał się, aż pot płynął ciurkiem. Kx A tu stop - maszyna staje i naraz zgrzani ludzie na mrozie nie mają co robić. I tak codziennie, nieraz godzinami płacemy się. Porządkujemy słomę wokół maszyny, układamy stogi, ale w końcu bezczynnie czekamy i marzniemy na lodowatym wietrze. Naraz maszyna rusza, arywamy się, wylazimy z dziur w stogu i stajemy do roboty. Uwijamy się przez jakiś czas co się, bo maszyna szybko młóci, ledwie nadążamy podawać - i za chwilę znowu awaria. I tak cały dzień, prawie do zmroku. Wieczór - powrót do baraku. W lodowato zimnej wóźnie myje się koniec nosa i oczy, bo na więcej nie pozwalają warunki: brak możliwości zagrzania wody, ogólna sala, no i ciągle zimno. Po paru dniach nasza bielizna i skóra pokryte są skorupą brudu, a wszy dopędzają cierpienia. Nasza odzież i obuwie, to łachmany częściowo pochodzące jeszcze z kraju, częściowo nabyte na osiedlu w tajdze. Teraz przy tej pracy przy skromie zdarły się już do reszty. W Kokochozie, ani w Abakanie nic kupić nie można.

Powiedziano nam przy wyjeździe, że po pięciu dniach wrócimy, ale minęło już ponad trzy tygodnie, zbliżały się święta, a o powrocie do Czeptych-Chonych nie było mowy. Tyle dni bez mycia się, bez przebrania bielizny, w takim zimnie - już nie mogliśmy wytrzymać. My, Polki, tj. ja, pani Żygisowa i Nela postanowiłyśmy uciec. Najpierw powiedziałyśmy brygadziście, że dłużej nie możemy w takim brudzie żyć. Zaczęła na nas strasznie krzychać i straszyć sądem, ale nie odwiezło nas to od naszego postanowienia. 24-go, tj. w dzień Wigilii Bożego Narodzenia przy śniadaniu wzięłyśmy trochę więcej chleba i cichaczem udałyśmy się w drogę. Gdy oglądaliśmy się, zobaczyłyśmy, że wszyscy z naszej grupy idą za nami. Chakaski znaly drogę, więc było bezpieczniej. W obawie, że zostaniemy schwytani, koło wsi szliśmy sznąt drogi polami i bardzo zmoczyliśmy się. Ostatkiem sił, brnąc po kolana w śniegu dotarliśmy do rzeki Abakan. Wprawdzie była zamrznięta, ale to duża rzeka i baliśmy się, czy lód na środku jest dostatecznie gruby. Najpierw szli chłopcy pani Kx Żygisowej, ostrożnie, krok po kroczku, potem inni trzymając się Kx za ręce gęsiego. Z duszą na ramieniu przeszliśmy rzekę i znalazliśmy się na polach należących do Czeptych-Chonych. Krótki odpoczynek koło stogu siana i dalej w drogę. Tu było już lepiej,

bo zśliśmy drogą przestartą przez sanie dowożące siano do kołchozu. Na wieczór dotarłam do rodziców. Jaka była radość, jak strasznie cieszyliśmy się wszyscy! Mama nagrzała wody, wykąłam się, przebrałam czystą koszulę, moje grube łachy poszły na mróz, a lżejsze do wrzątku. Potem wspólna kolacja, wspomnienia, śzy, życzenia, kolęda i wreszcie czyste łóżko i ciepła pierzyna - szczyt szczęścia. Potem okazało się, że mam odmrozone kolana od wewnętrznej strony, gdyś tam, przy pracy i potem w drodze przestarki mi się spodnie i miałam w tym miejscu dziury.

31.XII.1942

Co trzech dniach zgłoszono do zarządu o naszej ucieczce. Przed szkołą pojawił się posłaniec na koniu i kazał mi zgłosić się natychmiast do kantoru. Gdy weszłam do pokoju Ibragimowa, zastałam tam już zapłakane panią Zygisową i Helę Skiertówną. Ibragimow siedział rozwalony w krześle. Na mnie już nie krzychał, już wcześniej na nich wyladował swój gniew. Warknął tylko, że mam iść do pracy do księgowości, a potem za karę pośle mnie do kopania rowów. Hela poszła do stodołki, a Zygisowa do fermy hodowlanej.

5.II.1943

Niedługo pobyłam z rodzicami. W pierwszych dniach stycznia otrzymałam nakaz wyjazdu na budowę kanałów. Tym razem byłam jedyną Polką. Razem ze mną jechało kilka Rosjank i Chakasek. Na południe od Abakanu, niedaleko miejscowości Szuszenskoje ma być zbudowana potężna elektrownia. My mieliśmy kopać jakiś kanał. Zgromadzono tu już ogromną masę ludzi. Zakwaterowani są w długich ziemiankach. Te ziemianki, to takie rowy w ziemi, atrop stanowią okrągłaki i dach. W środku jest ciemno, jak w grobie, u sufitu wisi jedna stajenna latarnia, która właściwie nie nie oświetla. Wzdłuż ścian, po obu stronach ciągną się rzędy przycz drewnianych. Każdy dostał worek z sianem i jakiś ohydny koc. Na środku stoi mały, okrągły piecyk. Jak się zorientowałam później, takich baraków znajduje się tu bardzo dużo. A teraz o warunkach pracy. Trasa kanału wyznaczona była kołkami. Kanał miał mieć kilka kilometrów długości i 20 metrów szerokości, może szerszy. Mimo mrozu i mimo, że ziemia zamarznęta była na znaczną głębokość, wszystkie roboty prowadziło się ręcznie, nie tylko kopanie, ale i usuwanie ziemi z wykopu. Wynoszono ją

ją przy pomocy nosideł. Każda para robotników otrzymywała normę na 5 dni. W górnych warstwach ziemia zamarznięta była na skałę, w dolnych wydobywała się woda. Pracowało się w strasznym, zamarzającym błocie. Obuwie mieliśmy przemoczone, obrane ziemią, rozlatująca się. Rękawice - łata na łacie, jak zresztą cała odzież. Nikogo nie obchodziło, w co my się ubierzemy do pracy, czy ktoś na buty, czy niegma. W tajdze przynajmniej każdy dostawał waciski, rękawice, walonki; tutaj nie. A zimno tutaj nie mniejsze niż tam, bo po stepie hulają mroźne wichry przeszysujące do szpiku kości. Kategoriecznie żądano od nas wykonania normy, nie dając żadnego wynagrodzenia. Pracowało się tylko za miskę zupy spożywaną po omacku, bo w stołówce - ziemiance było zupełnie ciemno.

O takich czynnościach, jak mycie się, trudno było nawet myśleć, gdyż woda była w studni, na dworze, a studnia była jedna na wszystkich ziemianki. Myliśmy się śniegiem. Skóra mi spierzchnęła, zaszła brudem, odzież, to jedna skorupa z błota, pościel codziennie była pokryta grudami ziemi, która sypała się z sufitu i ze ścian. Wieczór nie było gdzie wysuszyć mokrych butów i rękawic, bo na całą ziemiankę, tj. kilkadziesiąt osób, był tylko jeden mały piecyk.

Spotkałam tu znajomych ludzi, a mianowicie Polaków z osiedla Kirowskiego, z tajgi. Kierownikiem robót był inżynier Antonow, który na brygadzie polowej w kolchozie wizytował roboty irygacyjne.

Z Julką Szpakówną i jej bratem rozmawialiśmy, jak głupia była decyzja wyjazdu z tajgi, z osiedla Kirowskiego. Tam otrzymywaliśmy wynagrodzenie za pracę, kartki na żywność, odzież do pracy i czasem można było kupić jakiś materiał, a do Polski tak samo daleko jest stąd, jak i stamtąd. I pomyśleć, że dobrowolnie przyjechaliśmy do kolchozu.

Jednego dnia więkazość robotników nie mogła wykonać normy. Było bardzo zimno, wiał wiatr, szybko zapadał zmrok. Wtedy nadzorca postanowił, że nie pojedziemy do baraku, dopóki norma nie zostanie wykonana. Cwili wszyscy stali bezczynnie, przytupując nogami. Wreszcie hurmem rzuciliśmy się w kierunku ziemianek. Brygadziści wrzeszczeli, grozili, próbowali zagrozić drogę, ale już nie mogli zatrzymać całego tłumu.

Na drugi dzień jedna brygadziстка - szczekaczka wpadła o godzinie 9-tej do naszej ziemianki i zaczęła nas budzić, lecz nikt nie podniósł głowy. Jędza dopadła wtedy do jednego małego chłopca i zaczęła go tarmosić. Wtedy jedna z Rosjanek chwyciła drowno

leżące koło piacyka, zbliżyła się do niej i zamachując się pole-
nem zażądała, żeby ta opuściła naszą ziemiankę. No i brygadzi-
stka poszła. Jeszcze chwilę leżeliśmy w naszych barłogach, a gdy
zaczęło świtać zgramoliliśmy się i wyszliśmy. Zjedliśmy śniadanie
i brygadziści, jakby się nic nie stało, zabrali swoje brygady do
pracy. Po tych zajściach, trochę mniej wymagano wykonania normy,
a brygadziści uspokoiły się.

Mój pobyt na budowie kanałów nie trwał długo, nie cały mie-
siąc, ale i tak ledwo żyłam. Na szczęście zachorowałam na zapa-
lenie okostnej i do tego przyplątała mi się róża na twarzy.
Strasznie opuchłam, nie byłam podobną do człowieka. Zwróciłam
się do tego znajomego inżyniera, a on załatwił mi zezwolenie na
odjazd. Opuściłam to straszne miejsce podwładą dowożącą chleb.

Po powrocie do rodziców, ciężko odchorowałam tamtą pracę.
Lekarza w kolchozie nie było, a do miasta z różą na twarzy, ze
względu na zimno i wiatr, nie chciałam jechać, do najbliższej
stacji było 6 km. Mama znalazła jakąś znachorkę, która "zamówiła"
mi tę różę, czyli okadzała jakimiś ziołami i czyniła różne czary.
Po kilku dniach gorączka ustąpiła, cera zbladła i wróciłam do
zdrowia.

10.II.1943

Na razie nie poszłam do żadnej pracy, staram się nie wychodzić
z domu, żeby ci z kierownictwa nie stwierdzili, że już jestem
zdrowa i żeby nie wysłali mnie znowu do jakiejś pracy przy ro-
wach.

Wielkie przygnębienie spadło na całą wieś. Od kilku dni straż-
nicy przeprowadzają rewizje po domach. Szukają zboża. U kogo
znajdują choć kilka kilogramów - aresztują. Już siedzą m.in.
Polki: Żygisowa, Gerasimowiczowa i Waszkiewiczowa. W tej chwili
w szkole odbywają się przesłuchania. Ojca i mnie wygonili z miesz-
kania, żebyśmy nie podsłuchiwali. Piszę ten pamiętnik u Młti Kisz-
tiejowej.

Niedługo minie rok, jak tu jesteśmy. Rok ciężkiej pracy i cięż-
kiego życia. Po żmudnych wyliczeniach w kantorze, ustalono, że
na jedną dniówkę obrachunkową wypadło tylko 40 dkg zboża. Ponie-
waż w ciągu lata dostawaliśmy po 40 dkg chleba, wychodzi, że nic
nie zarobiliśmy. Zdarliśmy odzież na strzępy, jesteśmy bez obuwia,
w ciągu roku nie kupiło się ani jednego kawałka, ani ojciec, ani
ja nie zarobiliśmy w kolchozie ani grosza. To co ojciec zarobił,
to tylko prywatnie, pracując po robocie w kolchozie. Naprawiał
zegary, łątał garnki, naprawiał buty, robił młynki do siewowania

ziarna, stołki, półki i masę innych rzeczy. Właściwie, to zarabiała tylko mama; za stróżostwo w szkole dostawała 7 kg pszenicy miesięcznie i kilka rubli.

Jeśli mieliśmy co. Ja, pracując gdzieś, dostawałam tę miszkę zupy i kawałek chleba, ojczonek w kołchozie też. Mama znalazła w stepie trochę ziemniaków, które rozsypały się po drodze, posadziła je zaraz jak bezcenny skarb na działce w stepie. Baliśmy się, że nam je zabiorą, ale do tego, co zasiane, czy zasadzone nawet się nie doczepiali. Zasiałyśmy też trochę prosa, plony były żadne. Poza tym mama dostała z fermy hodowlanej małego prosiska na zdechnięciu. Odchuchała go, odkarmiła i przez parę miesięcy wyrósł spory świniak, którego zabiło się na święta.

Ala wyglądamy jak ostatnie dziady; brudni, obdarci. Bieliszę pierze się w ługu z popiołu drzewnego, mydła tu nie widziałam.

11.II.1943

W tych dniach zaświtała nam jakaś nadzieja na poprawę losu. A może nie na poprawę? Może tylko na odmiannę?

Planujemy ucieczkę z kołchozu do miasta Abakan. Ta sprawa naszego wyjazdu wynika zupełnie przypadkowo i musi to być trzymane w kwi tajemnicy, bo zasadniczo bez zgody przewodniczącego kołchozu, nie wolno nikomu opuszczać osiedla.

W tutejszej szkole był na wizytacji dyrektor instytutu nauczycieli cielskiego z Abakanu; taki sympatyczny, starszy pan.

Dyrektorka tej szkoły, w której mieszkamy, to jego dobra znajoma.

W rozmowie z nim pochwaliła się, że ma tu takiego Polaka, który bezinteresownie wyremontował jej sprzęt szkolny, drzwi, okna, a nawet zrobił niektóre pomoce szkolne. Potem przyprowadziła go do naszego mieszkania i on długo u nas siedział i rozmawiał z nami. Stwierdził, że powinniśmy się przenieść do Abakanu. On by tam znalazł pracę dla ojca natychmiast, dla mnie i dla mamy też może by się znalazło coś, a w każdym razie warunki mielibyśmy lepsze i traktowanie lepsze niż tutaj.

No i teraz czekamy na furmankę z instytutu. Wyjedziemy w nocy, a potem Anna Ivanowna - dyrektorka ugada Ibraginowa, aby nas nie ścigał. Nie wiadomo, co nas czeka, ale tu już wytrzymać nie sposób.

15.II.1943

Jesteśmy w Abakanie, pożegnaliśmy Czeptych, Chonych - "Szczęśliwe życie". Do czasu uporządkowania naszego mieszkania koczujemy w głównym budynku instytutu. Gmach jest duży, jest ciepło

i czysto, ale śpiwy na podłoga i nie ma gdzie gotować. Najgorsze jednak jest to, że mama się przeziębiła po drodze i jest chora.

2.III.1943

Mama nadal choruje i nie ma jej czym odżywić. Ja z gotowaniem biegam do pani Stasi Kabatowej na czwartą ulicę. Tato ma pomieszczenie na warsztat stolarski, ładne, jasne, wygodne. Już wiemy, gdzie dostaniemy mieszkanie, teraz tato tam coś urządza.

Abakan to duże miasto z systematyczną zabudową. Ulice są do siebie równoległe i prostopadłe. Te równoległe nie mają nazw, tylko są oznaczone cyframi: 1-ga, 2-ga, 3-cia. Prostopadłe natomiast mają nazwy. Mieszkalne budynki są w większości parterowe, drewniane; gmachy urzędowe są piętrowe i murowane.

12.III.

Jesteśmy już w naszym nowym mieszkaniu. Jest to duży pokój z dużymi oknami i korytarz w oficynach głównego budynku. Takiego mieszkania nie mieliśmy nigdy w czasie pobytu w ZSRR.

Coś się zmieniło w stosunkach tutajszych władz do nas, Polaków. Zabierają nam dokumenty polskie, a otrzymujemy rosyjskie paszporty. Nie wiem, co to ma znaczyć.

16.III.

Tato jest pracownikiem do wszystkiego w instytucie, mama prowadzi dom, a ja szukam pracy. Nie mogę nic znaleźć, ale muszę, bo nie zatrudnionych wysyłają przymusowo na budowę kanałów. A tu w mieście jest taka sytuacja, że na czas werbunku do kanałów żadna instytucja nie przyjmuje pracowników.

18.III.

Mama wyzdrowiała, ale tato zachorował na malarię i jest w szpitalu. Mamę zaangażowali do pracy w gospodarstwie przy instytucie. Instytut ma swoje gospodarstwo rolne gdzieś daleko w stepie koło Taszaby, ale na razie ~~z~~ zwierzęta, tj. para koni i krowa są tu w mieście. Są bardzo marne, bo pasza jest na wykończeniu. Jeden koń jest ledwo żywy, krowa bódzie, spaceruje po podwórzu i straszy studentki, a dziś nawet dyrektora pogoniła.

21.III.

Znalazłam pracę. Jestem pomocnikiem murarskim przy remontach pieców w piekarni. Robota taka sobie, niezbyt ciężka. Chleba mo-

gę jeść do woli i do domu coś przynoszę.

Tato nadal bardzo źle się czuje, ma okropne ataki gorączki. Bardzo się martwimy.

24.IV.

Dostałam nakaz wyjazdu na budowę kanałów i równocześnie zwolnili mnie z piekarni. Muszę się ukrywać, bo do kopania kanałów za nic nie pojedę.

26.IV.

Strasznie się martwię i boję się sądu, że nie pojechałam do tych kanałów. Poza tym werbują do spławu kłoców na Jeniseju, ale też nie chcę tam jechać. Mam nadzieję, że wezmą mnie do pracy w gospodarstwie rolnym instytutu, więc na razie chcę przeczekać, ale nie wiem, czy wcześniej mnie nie aresztują.

Bardzo dobrze nam się mieszka w tym instytucie. Stosunki z gronem profesorskim i ze studentkami /studentów jest bardzo mało/ są jak najlepsze. Na przerwach i po zajęciach przychodzą do nas coś podgrzać, ugotować, pogadać. W przedpokoju zostawiają swoje prowianty i inne rzeczy na przechowanie. Wszyscy są kulturalni i sympatyczni z wyjątkiem dwu osób: palacza-mechanika Gracaja i kierownika administracyjnego, Piotra Efimowicza, takiej starej zgrądy, co bez przerwy gdera.

17.V.

Zaangażowali mnie do pracy w gospodarstwie pomocniczym instytutu. Z Abakanu jedzie się 14 km pociągiem do stacji Tazsaba i potem idzie się ok. 3 km. Jest tam baraczek na wpół wkopany w ziemię z pryzmami i piecykiem oraz stajenka dla krowy.

Krową opiekują się starszy człowiek, trochę inteligent, Piotr Karpowicz. Z tą krową jest kłopot, bo bodzie; nie uznaje kobiet w obsłudze i jest niebezpieczna.

Do pracy w polu jest nas trzy kobiety: Anna Pawzowna, wdowa po żołnierzu z 10-letnim synkiem Tolą, Zina, trochę niedorozwinięta ukyskowo, ok.20-letnia dziewczyna, ona i ja.

Ja pełnię tu rolę kierowniczką gospodarstwa, ale normalnie pracuję razem z innymi. Traktorami zabrali nam kilka hektarów ziemi, studenci posiadali ziemniaki, a my obecnie sadzimy kapustę, marchew, melony i kawony. Pole jest pocięte kanałami i można je nawadniać.

Tato co drugi dzień przyjeżdża furmanką, przywozi nam chleb i inne prowianty, a zabiera mleko. Ja mieszkam tu na stałe.

Dla siebie też skopaliśmy z ojcem poletko, na którym sadzimy ziemniaki i kapustę, posiejemy też pomidory, marchew i proso. Inni pracownicy instytutu też mają swoje poletko i każdy z nadzieją coś sędzi.

15.VI.

Wróciłam na jakiś czas do domu, gdyż zachorowałam na malarię. Ledwie wyzdrowiał tata, zachorowała mama i teraz ja. Jest to straszna choroba bardzo wyniszczająca organizm. Mama dopiero wyszła ze szpitala, jest słaba i wychudzona. Ja leżę w domu. Właśnie opuścił mnie stak. Jeszcze boli mnie głowa i w ustach mam gorycz. Przy tej chorobie trzeba się dobrze odżywiać, a tu z żywnością jest bardzo kłopot. Na działce jeszcze nic nie urosło, w sklepach nic nie ma, w stożówce każdy dostaje 40 dkg chleba i porcję kaszanki. Tato, gdy jedzie na gospodarstwo, kawi suszy i na tym mięsie gotuje zupę z dodatkiem naci z marchwi lub z buraków.

30.VI.

Wydarszyło się nam nieszczęście. Tato wiózł na gospodarstwo prowianty dla robotników i, ponieważ odległość jest znaczna, a droga monotonna i pusta - zasnął. Ktoś wykorzystał sytuację i ukraść wszystko z wozu. Teraz, z naszego przydziału musimy zapłacić wszystko.

Plony na gospodarstwie zapowiadają się żadne. Jeszcze nie ma co zbierać, ale ziemniaki równiutko wzeszły i właśnie je okopujemy, kapusta pięknie składa się w główki, pomidory bujne, a nawet dynie i kawony już zakryły rzędy i kwitną. Roboty jest dużo, ale cięży mnie ta praca ze względu na żadny urodzaj. Gorzej, że męczy mnie malaria, zrazą nie tylko mnie, pozostali też chorują. Rodzice bardzo misernie wyglądają, strasznie ich ta choroba wyniszczyła.

Dobrze, że chociaż ludzie z instytutu są dla nas łyczliwi. Na gospodarstwo pomocnicze często przyjeżdżają studenci do pracy, przyjeżdżają też profesorowie i dyrektorzy na swoje działki. W sobotnie popołudnie wyjeżdżamy z Anną i Ziną do Abakenu i wracamy w poniedziałek rano. Na gospodarstwie zostaje tylko dziadek Piotr. Z dojazdem do Abakenu jest trochę ciężko, bo pociąg z Aczyaka jest strasznie przepiękny, trudno się wsiąść, często jedzie się na schodkach na senną trawę. Ostatnio też tak jechałam na schodkach, trzymając się tylko poręczy. Do drożdża banda wyrostków obrzuciła pociąg kamieniami. Miałam wrażenie, że stracę

życie. Zostałam trafiona w przegub ręki, którą się trzymałam, z bólu pociemniało mi w oczach i czułam, że zaraz wyśląją pod kark kołami pociągu. Jakos udało mi się uchwycić drugą ręką i nie spałam. Ale przegub spuchł jak bania.

14.X.1943

Leto przeszło bardzo pracowicie. Nie miałam czasu i siły pisać pamiętnika. Stale mieszkałam na gospodarstwie i tylko czasem jeździłam do domu. Ostatnio także koniem woziłam coś do miasta. Moja praca i mojej brygady była ładna plony. Urodzaj jest piękny, ale czy zebrane plody trafią do stożówki, to jest pytanie. W ciągu lata trudno się było doprosić o pomoc, teraz przy zbiorach tej pomocy jest za dużo. Do zwózki zbiorów zaangażowało się dwóch nieuczciwych ludzi i bez żadnego skrupowania polewą zostawiają w swoich domach. Bardzo mnie to boli, bo to jest nasza ciężka praca i idzie na korzyść złodziei.

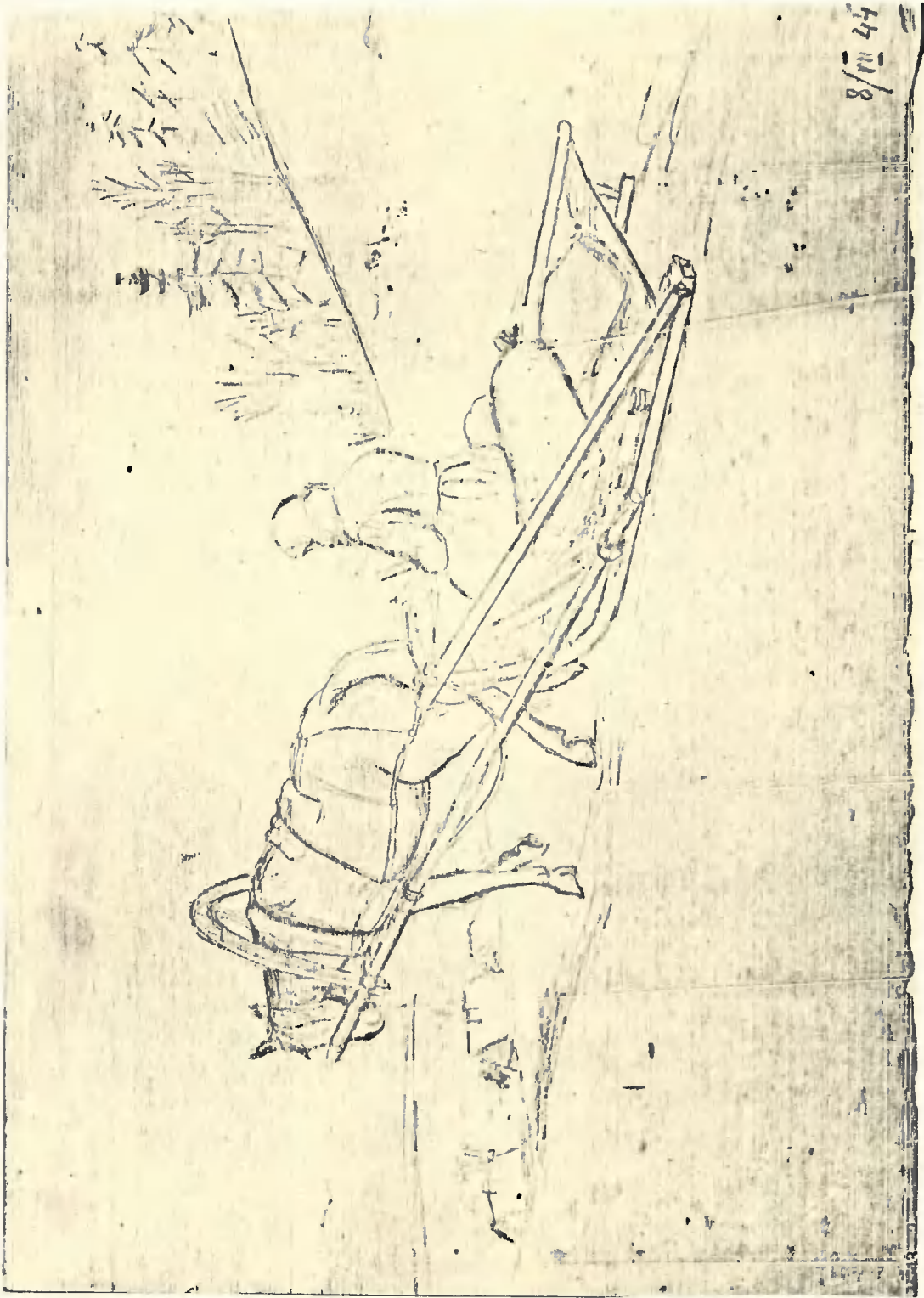
Często z mamą i z ojcem, albo i sama wożę pociągiem zbiory z naszej działki. Też wszystkó ładnie się udało, ale przywiezienie tego jest bardzo uciążliwe. Do pociągu niosie się na plecach worek kartofli czy czegoś innego, a jest to parę kilometrów.

Potem czekanie na pociąg. To południu jest jeden dalekobieżny, ale stoi bardzo krótko i jest przeładowany; z ciężarem nie można wsiąść. Władania jest połączone z nadludzkim wysiłkiem, a jazda z jeszcze gorszym, bo przeważnie jedzie się z ciężkimi workami na schodkach lub na buforach. Drugi pociąg jest o godzinie 12-tej w nocy. Na polu jest bardzo zimno, stacyjka mała, a czekających dużo. Nie ma gdzie usiąść, jedynie na obrzydliwej, brudnej podłodze. A spać się tak strasznie chce. Zimno, ciemno, brudno - co za męczarnia!

24.X.

Jest godzina 19-ta, przed chwilą wróciłam z gospodarstwa, teraz od kilku dni przebywa tam mama. Na dworze jest zimno i w mieszkaniu zimno. Rozprzątałam trochę i palię w piecu. Tato leży chory, ciągle ma ataki malarii. Normalnie cały dzień pracuje, ale jest bardzo słaby. Całymi dniami zwozimy teraz oboje z ojcem ziemniaki z pola do instytutu, na dwie furmanki. Cały czas jesteśmy w drodze.

Wożenie też nie jest łatwe, bo konie są słabe, źle odżywione, w lasie jeden zdechł. Uprząż i wozy liche, droga śliska i na dodatek zimno - przymrozki i wiatr. Szczególnie trudny jest przejazd przez rzekę. Nieraz konie nie może wyciągnąć wozu i wtedy trzeba



"Daleko od swego kraju ..."

w wejść do lodowatej wody i pchać wóz.

5.XI.

Zmienił się dyrektor instytutu. Dubow został przeniesiony gdzieś indziej. Bardzo go żałuję, bo to dobry, mądry człowiek. Obecny dyrektor nazywa się Adamski. Nie lubię go; uważam, że jest ograniczony.

Tato przebywa teraz stale w mieście. Montuje zepsute meble. Ja zwożę zbiory na dwa konie, a mama jeszcze jest na gospodarstwie. Cieszę się, bo jutro już mam zabrać krowy do miasta i mama nareszcie wróci do domu.

16.XI.

Spełniło się moje życzenie, wszyscy troje jesteśmy razem, zbiory zwiezione, gospodarstwo zlikwidowane na zimę. Z frontu nadchodzą dobre wiadomości. Wojska rosyjskie zajęły Bytomierz i idą na Równę.

26.XI.

Po zwiezieniu zbiorów zatrudniono mnie na "stano-wisku" pomocnika palacza w kotłowni. Moim zwierzchnikiem jest "starszy palacz" Gracaj. Ma on ok. 55 lat, suchy, pomarszczony, zawsze na wszystkich zły. Choruje na wrzody żołądka. Robota jest ciężka, gdyż pali się tylko miazem, węgla nie ma, i trudno jest utrzymać w ten sposób temperaturę. Wodę pompuje się ręczną pompą. Dyżury mam po 12 godzin.

24.XII.1943

Dzisiaj jest Wigilia. Mam dyżur od 20-tej do 8-mej rano. Jestem już po kolacji; był barzecz z ziemniakami. Teraz mamy co jeść, zebraliśmy z działki trochę ziemniaków, marchwi, proso, kapusty, ogórków. Chleb dostajemy na kartki po 400 gramów dziennie, ale trzeba go zdobywać w długich kolejkach. Czasem jakimś cudem można zdobyć trochę oleju - to cała omasta i czasem sprzedają cukierki na kartki. Jeszcze bardziej kłopotliwa jest z odzieżą. Wszystko szyjemy z worków. Ale i o worki trudno. Na terenie Abakanu są olbrzymie elewatory zbożowe. Pracują tam Polacy. Mimo, że kontrola jest bardzo ostra, potrafią wynieść coś niecoś. Od nich można worek kupić, albo zarobić za szycie, zrobienie swetra, albo za jakąś naprawę. Taki worek farbuję się i jest suknie, bluza, spodnica czy spodnie. Sklepów tekstylnych czy z obuwem nie ma. Nie wiem skąd ludzie mają jakiegokolwiek rzeczy.

Rozpisałam się o tym i o tym, a to dzisiaj wieczór wigilijny,

wieczór wspomnień i refleksji. Czwarta wigilia na Syberii.
Męczy mnie straszna tęsknota za krajem. Ach, jakbym chciała znaleźć się gdzieś w Polsce, usłyszeć polską mowę, zobaczyć rodzinne strony. Kiedy to będzie? I czy będzie?

"Nim słońce wzejdzie, rosa oczy wyje..."

8.I.1944

Już nie pracuję w kotłowni. Za namową profesorów instytutu, którzy są bardzo dobrzy dla nas, zapisałam się i zostałam przyjęta na jednoroczny kurs nauczycielski.

20.I.1944

Uczę się teraz w instytucie. Obrałam kierunek przyrodniczo-biologiczny. Mam w klasie 35 koleżanek Rosjank. Są dość miłe. Nauka przychodzi mi ciężko, bo odwykłam od uczenia się, ale pocieszam się tym, że do egzaminów daleko.

W całym instytucie jest nas tylko dwie Polki. Druga, to Malinka Ojak. Ona studiuje matematykę i fizykę jako prawdziwa studentka. Jest młodsza ode mnie. Przyjechała tu w 1942 r. wraz z ciotką i wujem i nie pracowała ani w tajdze, ani w kołchozie. Jej wuj jest delegatem polskiego przedstawicielstwa na tutajszy teren. Takie przedstawicielstwo otrzymuje różne rzeczy do rozdania dla Polaków. O tym rozdaniu różnie można mówić. Może ktoś coś tam dostaje. My w każdym razie nic. Ale mniejsza z tym.

W tych dniach ustalane są granice Polski. Według wszelkich informacji Ukraina zachodnia zostaje przyłączona do ZSRR. Monastyrzyska i swoją ojcowiznę pożegnałam na zawsze. Nigdy już nie zobaczę naszego najdroższego domu, sadu, pola ... Do czego wracać?

.....

Na tym zakończyłam pisanie pamiętnika na bieżąco, ale nie zakończył się mój pobyt w ZSRR. Powrót ten nastąpił dopiero w czerwcu 1946 roku.

Dalszy ciąg dopisałam już po powrocie do kraju.

.....

10. lutego 1944 roku minęła czwarta rocznica początku naszej gehenny.

Mniej więcej w tym czasie zafundowano mi kolejną "wycieczkę krajoznawczą", jakich mi życie nie poskąpiło.

Oto instytut, a dokładnie kierownik administracyjny wysłał mnie

wraz z czterema innymi studentkami do załadunku węgla do kopalni w Czarnogórze.

Była zroga zima. Krozy dochodziły do 20 stopni. Żadna z nas nie miała odpowiedniej odzieży zabezpieczającej przed chłodem i nadającej się do tak brudnej roboty. Do Czarnogórki pojechałyśmy rano i zameldowałyśmy się we wskazanej kopalni. Po 3 godzinach oczekiwania, zaprowadzono nas na rampę, wskazano wagony i hałdę węgla i pozostawiono własnemu losowi. Hałda była oddalona od wagonu o ok. 20 metrów; no to nosiłyśmy węgiel na szuflę, do wagonu i z powrotem. Wagon miał pojemność 30 ton. Koła południa miałyśmy załadowane ok. ~~XXIX~~ 15 ton i byłyśmy wykończona z głodu i zmęczenia. Wtedy przyszedł do nas jakiś mężczyzna i zaczął na nas krzyczeć, że się bawimy a nie pracujemy, że powinniśmy już kończyć itd. Zaczęłyśmy mu wyjaśniać, że hałda jest zbyt oddalona od wagonu i że już nie mamy siły, że jesteśmy głodne i zmęczone. Na nic się nie zdało tłumaczenie. Około 15-tej poszłyśmy do biura kopalni prosić, ażeby nam pozwolili zjeść coś w stołówce. Zaczęła się ostra wymiana zdań i po długim oczekiwaniu zaprowadzili nas na stołówkę, gdzie mogłyśmy sobie kupić talerz zupy i 20 dkg chleba. Zjadłyśmy to i nadal głodne, poszłyśmy na rampę. Ładowałyśmy dalej ten niezaczęty wagon do godz. 21-szej.

Było ciemno, zimno, na rękach miałyśmy bolsane odciski. Postanowiłyśmy znowu pójść do biura kopalni. Tu już nikogo nie było. Usiadłyśmy w kącie, było ciepło, cicho, więc usnęłyśmy.

O godzinie 6 rano wpadł do kantoru jakiś typ i zaczął na nas ryczeć, że wagon jest niedoładowany i zaraz musi być zabrany. Rozbierałyśmy się więc i poszłyśmy na rampę. Doładowałyśmy trochę ~~do~~ do tego wagonu i za chwilę lokomotywa przesunęła go dalej, a podstawiła następny. Ten miał "tylko" 20 ton. Znowu zaczęło się noszenie węgla na szuflę i spacer od wagonu do hałdy i z powrotem. Około 10-tej powlokłyśmy się do stołówki i po długich prośbach dostałyśmy talerz zupy i 20 dkg chleba.

Pracowałyśmy do zmierzchu, byłyśmy ledwo żywe. Zostawiłyśmy niedoładowany wagon i poszłyśmy znowu do kantoru. Jak poprzedniego dnia, usiadłyśmy na podłodze i zaczęłyśmy drzemać, kiedy wpadł ten sam typ, co rano i zaczął krzyczeć, że instytut nie dostanie węgla, bo my zamiast ładować, śpimy.

Katia Rożkowa usiłowała nam wytłumaczyć, że cały dzień pracowałyśmy, że jesteśmy głodne i już nie mamy siły. Podczas tej dyskusji siedziakłyśmy na podłodze, a on stał nad nami. Wreszcie złapał

Katię za ubranie, saczył tarmosic i wyrzucił z kantoru, wrzeszcząc, że tu nie jest miejsce do spania. Nas pozostałe też wygonił. Ciemno, mróz, nie wiadomo, gdzie się podział; postanowiliśmy pojeść na stację. Za chwilę miał być pociąg do Abakanu. Czarne od brudu, zmarznięte, głodne znalazliśmy się o 12-tej w nocy w mieście.

Nastąpiły w instytucie trudne dni, bo zarząd kopalni odmówił dostarczenia węgla. W skardze na nas napisali, że dali nam dogodne warunki do pracy, a my uciekaliśmy. Okazało się, że miałyśmy pracować przez 6 dni i powinnyśmy załadować 50 ton dla instytutu i 50 ton na rzecz kopalni. Zapomnieli tylko, że w ciągu tych sześciu dni musimy czasem odpocząć, coś zjeść, umyć się i w nocy przespacerować.

Zostałyśmy wplątane w jakieś zatargi między instytutem i kopalnią, które trwały już wcześniej, a teraz się zaożgnęły. Nas ukarano nagana, ale już nie wysyłano więcej do węgla.

Moja nauka w instytucie trwała do końca lutego 1945 roku, z dwuniesięcznymi wakacjami w lipcu i sierpniu, które spędziłam przy pracy na gospodarstwie pomocniczym instytutu.

W tym roku kierownikiem był tam mój ojciec, ale większość czasu spędzał w Abakanie, w zakładzie remontowym, gdzie zawsze było dużo pracy, a na gospodarstwie zostawał Piotr Karpowicz.

Grubsze roboty wykonywali studenci.

Ja trochę wyzwoliłam się od ciężkiej pracy i brudnych zachów. Siedziałam sobie w czystych, jasnych salach wykładowych, grzebiałam w księgozbiorach. Przeczytałam wiele książek, przede wszystkim klasyków rosyjskich, uczyłam się gramatyki i ortografii.

Ciężko mi to przychodziło, ale pomagały mi koleżanki. Najbardziej zaprzyjaźniłam się z Walą Suminą i Katią Rożkową.

Potem była praktyka w szkole. Najpierw przysłuchiwałyśmy się lekcjom prowadzonym przez starsze nauczycielki, a potem same prowadziłyśmy lekcje.

Wrzeszcie egzaminy i pokazowe lekcje. Wyniki miałam dobre.

Na pokazowej lekcji jeden z hośpitujących zauważył, że na jednym słowie postawiłam niewłaściwy akcent. Gdy przy omawianiu lekcji nasz opiekun Arkadij Nikołajewicz wyjaśnił, że jestem Polką, wszyscy byli zdziwieni, że niczego nie zauważyli, tak dobrze opowiadałam język.

Po ukończeniu kursu, we wrześniu poszłam do pracy. Myślałam, że dostanę pracę w polskiej szkółce, która tu powstawała w Abakanie, ale już miejsca były obsadzone. Wprawdzie ja nie

miałam wysokich kwalifikacji, ale te panie, które zaangażowano, nie miały w ogóle przygotowania pedagogicznego. Ale sedno sprawy leżało w tym, że nie została zakwalifikowana przez panią Ziemiak, przewodniczącą Związku Patriotów Polskich.

W każdym razie poszłam uczyć do rosyjskiej szkoły we wsi Krasny Abakan, oddalonej od Abakanu ok. 5 km. Z naszego kursu zostały tam zaangażowane Szurka Iwanowa, Wala Sumina i Sasza Zubowa.

Szkoła była 7-klasowa. Dyrektorka nazywała się Nina Iwanowna, była ostre i wymagająca; uczyła matematyki.

Ja uczyłam przyrody i chemii w klasach V-VII. Młodzież była zdyscyplinowana i pojętna, tylko w klasie VII były kłopoty z dyscypliną. Początkowo mieszkaliśmy w trójkę w małym dwuizbowym donku, gdzie już jesienią było bardzo zimno. Wieczorami nawet trudno było przygotować się do lekcji z tego powodu. I z jeszcze jednej przyczyny; wieczorami zbierała się pod oknami gromada miejscowych wyrostków, którzy strasznie dokuczali. Nie pomagały interwencje przedsiębiorcy miejscowego kołchozu, ani milicji.

Gdzieś koło grudnia Sasza Zubowa wyszła za mąż za jakiegoś starego kołchoźnika i zostałyśmy z Walą w dwie. Wala to sympatyczna dziewczyna i bardzo solidna nauczycielka. Byłoby nam dobrze, gdyby nie piskieline zimno. Dwie były byle jakie, ściany domu cienkie, okna nie zabezpieczone, opału brak. Postanowiłyśmy wtedy przenieść się na kwatery przy rodzinach we wsi.

Ja zamieszkałam u jakiejś kołchoźnicy. Na imię jej było Anna. Miała dwoje dzieci i starą matkę. Mąż był na wojnie.

Mieszkałam z nimi w jednej izbie. Dostałam łóżko, kawałek stołu oraz możliwość gotowania na kuchence. Babcia z jednym z dzieci spała na piecu, Anna z drugim na łóżku i ja z kotem na drugim łóżku. Ludzie prości, szczerzy, dobroduszni. Kupowałam od nich pół litra mleka i kartofle, a w ogóle to razem gotowałyśmy, albo gotowała babcia.

Tak było do końca ~~kwietnia~~ kwietnia 1946 roku. Po wakacjach 1945 roku wróciłam znowu do szkoły. Już byłam "stara" nauczycielką, miałam więcej czasu, gdyż nie musiałam się już długo przygotowywać do lekcji. Na niedzielne wieczory z młodszą nauczycielką H. dojeżdżałam do Abakanu.

W maju 1946 roku czytało się wojna. Wielki, raźny wstrząs przeżył cały kraj. Wydawało się, że koniec udręki, niedostatku i rozpaczy. Ale na odzyskanie się nie szło. Wróciło kilku młodych do kołchozu, lecz mąż Anny nie wrócił. Anna żyła w ciągłym oczekiwaniu. Nie pisał i nie wracał. W domu było smutno.



"Nasi"

Abakan, 23.IX.45r.

Ja też czekałam na sygnał do powrotu do kraju, ale tego powrotu też nie było. Mijał już rok od zakończenia wojny, a o powrocie nic konkretnego nie było wiadomo. Dopiero na wiosnę 1946 roku zaczęto sporządzać listy repatriantów.

Pracowałam w szkole do kwietnia; od 1-go maja wyświeliłam pracę. Szkoła urządziła mi uroczyste pożegnanie, dzieci odprowadziły mnie daleko poza wieś. Tak pożegnałam Krasny Abakan.

Mieszkałam z rodzicami w instytucie i czekałam na wyjazd.

Tymczasem wśród Polonii rządził Związek Patriotów Polskich wiejąc niezgodę i zawiść. Zajmował się głównie podziałem nadcho- dzących darów, oczywiście pomiędzy uprzywilejowanych, oraz sianiem plotek. Nie wiem, kto im dał prawo i na jakiej podstawie podzie- lili ci działacze ZPP Polaków mieszkających w Abakanie na tych, którzy pojedą do Polski i tych, którzy nie pojedą. Wśród tych ostatnich znalazła się nasza rodzina, co mnie napsowało rozpaczą. Dla zabicia czasu pracowałam w instytucie wykonując drobne roboty i pisałam. Profesorowie i dyrektor instytutu śmiali się ze mnie i pocieszali mnie, że to są bezpodstawne obawy, że w ogóle do Polski nie ma się co spieszyć, bo tam na razie rajy nie ma. Odnosili się do nas z wielką serdecznością, zwłaszcza w tych os- tatnich dniach, kiedy rozpacz, że nie wrócimy dosłownie przesie- niała nam świat. Nawet namawiali nas żebyśmy zdecydowali się na pozostanie jeśli nie na stałe, to na jakiś czas, aż się to wszystko uakoczi.

W maju zaczęto sporządzać listy uprawnionych do powrotu. My pozostaliśmy poza listą, a to za przyczyną pani Siemskiej, znajomej z Monastersysk, która jeszcze sprzed wojny szukała do nas nieuzasadnioną sąsiadką nienawidząc i teraz przy okazji po- stanowiła się zemścić.

Ja myślałam, że świat się kołoczy i rozpacz pomiesza mi w głowie. Wtedy dyrektor instytutu, którym był wtedy Andriej Marchomienko, poszedł do władz miejskich i do komitetu partii i załatwił, że jeżeli naszym życzeniem jest powrót - mamy prawo jechać pier- wszym transportem w pierwszym wagonie.

Dnia 21 maja 1946 roku odbyło się uroczyste poże- gnanie. Żegnali nas profesorowie i inni pracownicy instytutu; wszyscy ci serdeczni i dobrzy ludzie, którzy nas przyjęli i trak- towali jak swoich, z którymi dzieliliśmy ich biedę.

Dostaliśmy z instytutu furmankę, zapakowaliśmy nasze manatki i pojechaliśmy na stację. Dyrektor Marchomienko, młody energicz-



"Anna Pawłowna z Tola"
"Na dołguju, dobruju pamiat' - Danusi"



"Na pamiat' studentce
Danusi Siebierie ot direktora
Instituta - A.H. Porchomienko
Abaken, 26.IV.46r."

Zaświadczenie repatriacyjne

Województwo Łódzkie
Urząd Wojewódzki
Wydział Repatriacyjny
POLSKO-RADZIECKA KOMISJA MIESZANKA
DO SPRAW EWANUACJI
osób narodowości polskiej i żydowskiej
na podstawie Umowy z dnia 6 lipca 1945 r.

Repatriacja
ZASWIADCZENIE № A3 16530

Ob. *Czekiła Franciszek*
Antoni i (Piotr)
1903 r. (wedd.)

zamieszkały (a) w *Ken... ..*
ul.

tdaje się wraz z członkami swej rodziny

300 w
...
Pr



na stały pobyt do Polski na podstawie Umowy
Polsko-Radzieckiej z dnia 6 lipca 1945 r.

Pełnomocnik Polskiej Delegacji

Ziemski
miasto *...*
26 *...* 1946 r.

ny, przytępną mędoczyną - odprowadził nas nawet na stację. Bardzo lubił mojego ojca i cenił go za jego uciążliwą pracę. Pożegnaliśmy się jeszcze raz serdecznie i ruszyliśmy w drogę do wytęsknionej Polski.

Byłam u szczytu szczęścia. Szczęść lat tułaczki zakończone. Zdawało mi się, że jadę do raju. Serce dawało w gardle. Bez znaczenia było jedzenie, a właściwie jego brak, oraz warunki, w jakich jechaliśmy. Nie miało znaczenia, że byłam ubrana w kachmany, a na nogach miałam rozlatujące się chodaki. Nie myślałam, że jedziemy na nowy etap poniewierki, że nie jedziemy do żadnego domu. Nasz dom, nasze gospodarstwo pozostało za granicą, na terenie ZSRR. Ale nie ważne było gdzie będziemy mieszkać, ważne było, że jedziemy do Ojczyzny.

Jechano się oczywiście w wagonach towarowych. W Krasnojarsku przesiadka do innych wagonów, też towarowych, ale z piętrowymi przyczepami i dziurą w podłodze zamiast ustępu. Teraz jednak w wagonach mniej było zjad, więcej pogody ducha. Było nas mniej, mało było mędoczyn, bo ci wcześniej zaciągali się do wojska, które powstawało w Związku Radzieckim.

Znowu na stacjach transporty z Polakami. Teraz pytaliśmy spotykanych - "Gdzie byliście?"

Nikt nas już teraz nie pilnował. Nie było też jedzenia na stacjach, jadło się suchary i chleba przygotowane wcześniej. Jeżeli uzyskaliśmy zapewnienie, że pociąg będzie stał na stacji kilka godzin, szło się do miasta zdobyć górnuszek mleka czy kromkę chleba. Ale to nie miało znaczenia - przecież jechaliśmy do KRAJU.

Znowu był Tomsk, Omsk, Ural ...

I wreszcie: Białystok. Polska stacja, polscy kolejarze, jacyś kadni, czyści i mówiący po polsku!

Szeregi wagonów zasłaniały widoczność, tak że nie widziałam już następnych polskich miast.

I wreszcie: Warszawa. O jakaż ta nasza stolica! Jedna straszna rana! Gruzy, gruzy, ruiny i zgliszcza. Ale wśród tych ^{ruin} trwa ożywiony ruch i praca.

Nie długo stał tu nasz transport. O mało nie zgubiliśmy mamy, bo zeszła z wagonu po wodę do studzienki. Pociąg już ruszył i gdyby nie pomoc dwóch żołnierzy, byłaby została.

Następnie Poznań. Wydał mi się śliczny. Zgrupowano tu kilka transportów, chyba był tu jakiś punkt rozdzielczy. Poznaniacy powitali nas serdecznie. Zorganizowali pomoc w żywności. Pierwszy raz od niepamiętnych czasów jadłam kromkę bułki pieczonej

w domu, którą dostałam od jakiejś eleganckiej pani. Wybrałam się do miasta, ale zaraz wróciłam, bo wstyd mnie było moich kachmanów; spódnicy i blusy szytych z worka. Potem był Starogród Szczeciński, Kłoty i Gryfice, miasto w woj. szczecińskim, na Ziemiach Odzyskanych. Po miesiącu podróży, 26. czerwca byliśmy na miejscu.

Kazano nam wysiąść i szukać sobie mieszkania i pracy. W okolicach organizowały się PGR-y. Można było tam zamieszkać, lub zajmować opuszczone przez Niemców gospodarstwa, lub domki w mieście. Miasto było zrujnowane i strasznie rozszabrowane. Niezniszczone budynki były już pożyczowane, pustych, ale zniszczonych było pełno. Po kilkudniowych poszukiwaniach wśród ruin, znaleźliśmy na wpół zniszczony domek w żadnym ogrodzie. W domu nie było ani jednej szyby, pisce były rozwalone przez poszukiwaczy skarbów, w podłodze w kuchni wydarta była dziura, sprzęty połamane, rozszabrowane. Jako inwentarz żywy plątała się duża, ruda kocica. Z innych, pustych budynków poprzenosiko się szyby, wykładało się to i owo, pozwłóczyło jakieś sprzęty i zaczęliśmy mieszkać. Opychaliśmy się smacznym chlebem z tutejszej piekarni i bezskutecznie szukaliśmy pracy. W sadzie było dużo jabłek, ale rozkradali je żołnierze i watachy chuliganów. Po mieście włóczyły się tłumy repatriantów i szabrowników. Na ulicach walały się stopy papierów, dokumentów, książek, porozbijanych pięknych naczyń, podartych pierzyn. Ze zgrozą obserwowałam nieprawidłowość podziału darów z UNR-y i Urzędów Likwidacyjnych, które to dary wagarziali szabrownicy i ci, którzy mieli znajomości, a repatrianci otrzymywali podarte, na nic niepotrzebne kachmany.

We trójkę doprowadziliśmy do kadu domek, obejście i ogród, ale cóż, gdy był już jako tako uporządkowany i odremontowany, zjawili się jacyś urzędnicy i orzekli, że my tu mieszkać nie będziemy. Po prostu kazano nam się wynieść i szukać czegoś innego. W tym czasie już wszystko, co się nadawało do zamieszkania, było zajęte przez repatriantów i innych ludzi, reszta była dokładnie wyszabrowana. Nie było szans znaleźć czegokolwiek. Rodzice postanowili przenieść się bliżej rodzinnej wsi Zgłobien koło Rzeszowa.

Gdy po kilku latach przyjechałam do Gryfic, przez ciekawość zaglądnęłam do tego zakątka miasta i cóż zastałam? Domek w ruinie, ogród zdewastowany. Kto i po co nam to wtedy zabrał? Powoli entuzjazm i zachwyt z powodu powrotu gdzieś się ulotniły, a gromadziła się gorycz.